

Tarnis Wędrowiec



Sylwia Kajkowska



Cisza, ciemność, kurz i dom

Była to głucha i przerażająca cisza, która rodzi się z pustki i do niej prowadzi. Nie słyszałem nic, tylko swój własny, nierówny oddech. Cisza, która mnie otaczała wysysała duszę. Wiedziałem, że muszę coś zrobić. Nie mogłem zostać w tej ciszy. Na wpół ślepy podniosłem się z ziemi. Było trudno. Kark i nogi mi zdrętwiały. Oczy jakby przestały służyć. Nie widziałem prawie nic. Tylko czerń. Jak długo tam byłem? Myśli i uczucia zaczęły powoli napełniać się w mojej głowie. Znowu ból. Nigdy nie doświadczyłem takiego bólu. Bólu w klatce piersiowej, bólu oddechu, który był tam jedynym dźwiękiem. Prostując się, poczułem coś. Jakąś siłę. Zimno... Wiatr. W głowie zrobiło mi się jaśniej. Trwało to zaledwie parę chwil, dopóki znowu ból nie zaatakował. Wybrał na swoją ofiarę głowę. Umieścił się w potylicy, aż się zachwiałem i zobaczyłem małe pojawiające oraz znikające punkty. Jak świetliki, tylko te były białe.

Zapraгнаłem tego czystego powietrza.

Nie myśląc, ruszyłem przed siebie. Gubiłem pionowe powierzchnie, których się trzymałem. Ziemia uciekała spod moich nóg. Ból nigdy nie był mi, aż tak potrzebny. Opisywał każdy krok, każdy oddech lepiej niż odczuwałem przez moje wcześniejsze życie. Pierwsze ruchy też były

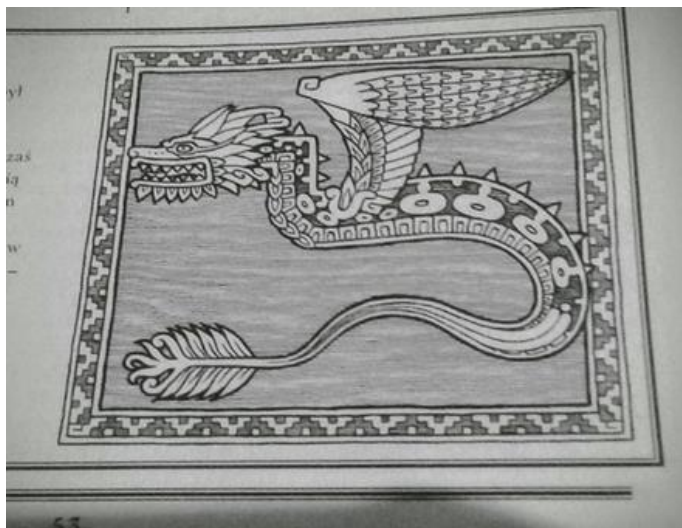
dźwiękiem. Odgłosem skrzypienia... i kolejnych uczuć. Duszenia.

Dopiero po pewnym czasie przemyśleń, wiedziałem, co mnie tak dusiło. Kurz. To on odebrał mi wzrok, zatykał nos, a wtedy poszedł o krok dalej. Dusił lepiej niż pętla stryczka. Ból, duszenie, każdy krok i czerń. Nie. Biel. Właśnie po tym wiedziałem, że to kurz. Coraz bardziej odbierał mi wzrok. Czy ja oślepiłem? Mącił mi w głowie. Brnąc w ciemnościach, ledwo co czułem jak o moje nogi obijały się jakieś przedmioty. Z trudem zatrzymałem się, by to zbadać. Pragnienie powietrza zajęło mi wszystkie myśli, jednak trzeba było sprawdzić i to. Tknięty złym przeczuciem schyliłem się powoli biorąc jeden z tych przedmiotów do ręki. Równie powoli zacząłem obracać go w dłoniach. Był miejscami miękki, twardy, a czasami jakby zabrakło mu części. Cały czas nie wiedziałem, co to jest. Uniosłem przedmiot ku jednej ze smug, odbitego światła księżyca. Światła... Wszystkie uczucia i ból momentalnie zniknęły. Była tylko ta mała wiązka światła. Oszołomiony wtedy spostrzegłem, że miejsce, w którym się znajdowałem, było domem, a mogłem przysiąc, że było to więzienie, które miało stać się moim grobem. Spojrzałem na przedmiot w dłoniach. Była to zabawka.

Musiała być tak stara, że prawie rozpadła mi się w rękach. Dlaczego nie dostrzegłem tego wcześniej? Wydawała się starsza od czasu. Rozpadłbym się tak samo jak ona, gdybym się nie ruszył. Musiałem wyjść z tego przekłętą miejsca. Wiatr znowu omotał mi twarz. Światło straciło na mocy, a potem zniknęło pozostawiając mnie w ciemnościach.

Odłożyłem zabawkę i ruszyłem dalej, już jakby wolny. Kurz powrócił, ale bez bólu. Znowu chciał utrudnić mi drogę, jednak stracił swoje wcześniejsze właściwości, tak jak światło. Wiatr nie był dobrym przewodnikiem. Zwodził mnie na ściany i dawał krótkie chwile wytchnienia od powracającego kurzu. Nareszcie udało mi się wyjść z opuszczonego domu. Na zewnątrz panowała noc. Księżyc łaskawie wyszedł zza chmur, by oświetlić mi widok przed domem.

Spojrzałem w prawo. Tam gdzie kiedyś rósł krzew herbacianych róż panowały legiony chwastów i pnączy. Jedyne, które miały jakiś cel w tamtym martwym otoczeniu. Pokryć sobą dom do niepoznania i zniszczenia. Jednak wyglądały tak samo martwe jak reszta roślin. Spojrzałem na dom za mną. Co się stało z tym miejscem?



Las, wąż i nieznajomy

Co stało się z tym miejscem? Znałem je.

Był to dom drwala i jego rodziny. Zaproponował całej karawanie odpoczynek w swoim domu. Wtedy nikogo tam nie było, oprócz mnie. Spojrzałem w lewo na czarny las nagich gałęzi i wielkich powyginanych pni. Promień odbitego światła księżyca właśnie tam zmierzał, lewitując blisko ziemi. Byłem przekonany, że to światło. Ruszyłem w stronę lasu. Zbliżając się wiedziałem, co to było. Był to pierzasty wąż, średniej wielkości, jeden z wielu sług Królowej Marili. (wiele lat wcześniej magiczne zwierzęta i stworzenia zostały wygnane przez wojska i działania Króla Saduna II . Obecnie nie wiadomo co się z nimi dzieje) Pierwszy raz widziałem tego stwora. Światło, taka była jego pierwotna postać. Śledząc go próbowałem przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałem o tych gadach. Legendy mówiły kiedyś o tak wielkich pierzastych węzach, że mogły unosić ludzi na karkach czy w węzowych splotach. Musiałem go schwytać. Nie był to pomysł godny pochwały, ale był on jedyną postacią w moim otoczeniu. Dogoniłem węża i złapałem. Chwyciłem za głowę, by nie mógł mnie ukąsić oraz za ogon, aby uniknąć owinięcia się jego ciała, wokół mojej ręki. Jedynie co mogłem, to bezradnie machać i bić skrzydłami. Wił się w moich rękach.

- Taka jest twoja wdzięczność marny człowieku ? - syknął ze złością - Gdyby nie ja, stałbyś się pyłem i prochem! - po szybkiej pauzie dodał - Głupi człowieku! Wasz koniec jest bliski! - ciągnął dalej.

- Zamilcz! Chcę wiedzieć co się tu stało. - odpowiedziałem nie wzruszony jego złością. Miałem dość jego słów i całej tej sytuacji.

Wzbierał we mnie gniew.

- Phi! Jesteś, aż taki ślepy? - odpowiedział mi z pogardą. - Chcesz wiedzieć co się tu stało? Waszą ziemię obrosła choroba, panuje głód i chciwość. Mówiłem już! To wasz koniec. W przyszłości zauważ, ile już jest takich martwych miejsc. - wyśnił i zamilkł.

Swój wzrok skierował na wyjście z lasu i prawdopodobnie na coś jeszcze znajdujące się za mną. Obróciłem się z wężem w tamtą stronę. Nie dostrzegłszy niczego interesującego zwróciłem się do węża :

- Na co się gapisz? -

- Ktoś na ciebie czeka obok domu, puść mnie - odpowiedział i prosił bez złości, ale z dziwną obawą.

Wyszedłem z lasu i spojrzałem w stronę domu. Na spróchniałym płocie siedziała zakapturzona postać.

- Kim jesteś? - zapytałem, puszczając węża.



Mrok, zniszczenie i pustka

- To nie ważne. - odpowiedziała wymijająco postać - Dałeś się zaskoczyć ciemności, Tarnisie, a w niej nie ma litości ani współczucia. Wyczuje każdą słabość czy lęk i wykorzysta to, by zniszczyć tego, kto je okazał. Twoim lękiem najwyraźniej okazał się dom, który znasz, a jednak tylko z niego wyszedłeś. Nie mieszkałeś w nim... i nie poznałeś do końca. -

Była to kobieta. Rozpoznałem ją po głosie i posturze ciała. Jej słowa nie miały, żadnych emocji.

Jakby od niechcienia, oparła ręce na kolanach. Na dłoniach miała wielkie, opancerzone, mechaniczne rękawice. Na końcach palców były dwu i pół centymetrowe szpony. Rękawice sięgały, aż do łokci. Czy ona posiadała ręce? W każdym razie była to zapewne mistrzowska robota.

- Skąd znasz moje imię? Czego ode mnie chcesz? - zapytałem, trochę zbity z tropu jej wcześniejszą wypowiedzią.

- To nie są właściwe pytania. - odpowiedziała.

W tym momencie i jej słowa zaczęły mnie drażnić. Postanowiłem jednak zachować spokój. Była pierwszą osobą, z którą mogłem porozmawiać, więc po chwili zapytałem ją znowu.

- Co się stało z domem drwala? -

- Mrok, zniszczenie i pustka. To właśnie jest przebieg początku, który dopiero nadejdzie. Głupcy... głupcy, którzy wierzą jeszcze w światło nie dostrzegają takich miejsc jak to. Na razie zaliczasz się do nich i ty. - po pauzie dodała - Ale ja pokaże ci inne światło. Światło, które świeci w ciemności. - ostatnie zdanie prawie nie przeszło jej przez gardło.

Wysyczała je jak Pierzasty Wąż. Spostrzegłem również, że od początku naszej rozmowy pierwszy raz okazała jakieś uczucia. Gniew.

- Co stało się z domem drwala? - powtórzyłem pytanie. Rozmówczyni kiwnęła lekko głową z aprobatą. Najwidoczniej gniew już ją opuścił.

- Tutaj spoczęła ciemność. Wchłonęła życie i zabrała twoich towarzyszy. Zostałeś tylko ty. - odpowiedziała w końcu kobieta.

Nie zadałem kolejnego pytania. Musiałem pomyśleć nad jej słowami i uspokoić myśli. W końcu dotarło do mnie, że jestem sam. Co stało się z moją rodziną? Nie rozumiałem wiele rzeczy, o których mówiła moja rozmówczyni. Usiadłem na trawie. Suche źdźbła trawy zaczęły fruwać wokół mnie.

Przez chwilę przypatrywałem się kobiecie. Wysokie, sznurowane buty z czarnej skóry, z cienką podeszwą, były w dobrym stanie. Obcisłe spodnie też miała czarne. Na udach posiadała różnej wielkości i grubości skórzane pasy. Zapewne od wielu pochw i kabur do noży, sztyletów czy mizerykordii. Górne partie ciała okryła dużym, wełnianym szalem. Wyglądał na często używany. Miał kolor popiołu. Twarz okrywał kaptur.

Nie widziałem z spod niego nawet zarysów twarzy. Dopiero wtedy, po obejrzeniu jej stroju nie potrzebna była mi już jej twarz, by wiedzieć kim jest. A gdybym kiedyś widział tę twarz byłbym w wielkich tarapatach. Nie chciałbym mieć takiej osoby za wroga, ani przyjaciela. Ona była zabójczynią.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytałem ostrożnie.

- Ktoś potrzebuje twojej pomocy. - oznajmiła.

- Pomocy? Nie jestem żadnym królem, nie posiadam żadnej mądrości czy magicznej mocy. - powiedziałem szczerze.

- Wiem to. Żądam od ciebie tego, co można żądać jedynie od wędrowca. - wyjaśniła - Masz wyruszyć w drogę. -



Podróż, cierpienie i szkarłat

- Dokąd miałbym się udać? - zapytałem zaniepokojony. Miałbym wędrować pod jej rozkazem?

- Tam, gdzie jest ta, która obdarzyła cię życiem, nadała ci imię oraz wybrała tobie życie w podróży i w biedzie. To właśnie ona potrzebuje twojej pomocy. Choć jeszcze o tym nie wie. - dodała zabójczyni.

- Mówisz o mojej matce? - zapytałem z obawą.

Zostałem wychowany przez wędrującą karawanę pasterzy, którzy sprzedawali swoje produkty w napotkanych miastach czy wsiach. Rodzice, których znałem, adoptowali mnie z sierocińca kilka dni po tym, jak się urodziłem. Nigdy nie interesowali mnie moi prawdziwi rodzice. Nie potrzebowałem więcej informacji o moim pochodzeniu.

- Dlaczego miałbym zacząć szukać swojej matki? Nie interesuje mnie jej los. - oznajmiłem zabójczyni.

- Nie jesteś dobrym synem, co nie... Tarnisie? - szydziła ze mnie kobieta

- Nieważne. - machnęła ręką. Rozległ się cichy świst.

- Nie idziesz tylko do swojej rodzicielki. W jej otoczeniu jest ktoś ci bliski. Jest z nią twoja mała przyjaciółka. - ciągnęła dalej.

Serce zabiło mi mocniej. W naszej karawanie było sześcioro dzieci. Dwa niemowlaki, a reszta w wieku 4 - 7 lat. Najstarsza ze wszystkich była Nira, miała 7 lat. Towarzyszyła mi prawie wszędzie. Zawsze słuchała opowieści i historii, które jej przynosiłem z miast. Bardzo lubiła wymyślać też własne opowieści. Nie widziałem jej od zeszłej wiosny, gdy opuściła nas ze swoją rodziną, by wędrować na "lepsze" pastwiska po drugiej stronie Zachodnich Wzgórz. Co ona planuje?

Poderwałem się by ruszyć w drogę, ale dalsze słowa zabójczyni powstrzymały mnie.

- Nie znajdziesz ich tak szybko, ani łatwo, Tarnisie. Siedź jeszcze. - powiedziała. Usiadłem ponownie.

- Znajdziesz je tam, gdzie jeszcze nie wędrowałeś. Będziesz podróżował o wiele dalej, niż w obrębie swoich dolin czy pastwisk. Znajdują się w stolicy. -

Gdybym stał padłbym, na kolana, na szczęście siedziałem już na ziemi.

Nira jest, aż w stolicy... Trzeba by było przejść przez wszystkie Zachodnie Doliny i pokonać wzgórza, a następnie przepłynąć archipelag jezior i bagien, nazywane Jeziorami Białej Kaczki. Jednak najpierw musiałbym przemieścić się na Czerwone Równiny. Znajdowałem się w najgorszym położeniu. Razem z karawaną byliśmy już w 3/4 drogi do Margrona, przedarliśmy się przez Północne Wzgórza, by się dostać do

tego miasta. Mówiąc inaczej tylko oddalałbym się od celu. Sama stolica stanowi osobny problem. Otacza ją coraz to większy pierścień budynków. - Jak Nira dostała się do stolicy? I co robi mała dziewczynka w tak wielkim mieście... - pytałem sam siebie cicho.

- Ogarnij się. - z rozmyślań wyrwał mnie zimny głos zabójczyni. Stała nade mną, a ja nadal nie widziałem jej twarzy.

- Jak to się stało, że Nira dostała się właśnie tam? - zapytałem twardo już bardziej przytomny.

- Pewna osoba z rodziny królewskiej wysłała po całym kraju sługi ze szkarłatnymi szarfami, czyli tych najlepszych, magicznych. Były to ożywione koralowe posągi z ogrodu pałacowego, przedstawiające gryfy i hipogryfy. Zrobione z koralowca, a jednak udało im się wzbić w powietrze i wypełnić zadanie. Rozkaz brzmiał - znaleźć nową służbę do pałacu w jak najszybszym czasie. Słudzy porywali z rozkazu najróżniejsze osoby. Młodych, dorosłych czy starych. Nie oszczędzali nawet dzieci, co nie jest normalne. Po co komu na dworze królewskim dzieci? - wytłumaczyła kobieta.

Czemu ona interesuje się moją matką? Dręczyło mnie to pytanie.



Przeszłość, nieufność i propozycja

Zaczęła ogarniać mnie nieufność. Skąd wiedziała kim jestem, co stało się z Nirą i dlaczego tak żąda mojej podróży?

- Kim ty jesteś? - nie mogłem dalej z nią rozmawiać, nie znając odpowiedzi na to pytanie. Kobieta wróciła na swoje wcześniejsze miejsce. Zwróciła głowę w stronę otaczającego nas lasu. Nie odpowiedziała od razu.

- Znasz legendę o drzewach-strażnikach? - zapytała.

Miałem dość tych zagadek i jej zwodzenia, ale chciałem wiedzieć dlaczego poruszyła akurat ten temat.

- Drzewa-strażnicy. Opowiada się i wierzy, że żyją pod postacią drzew, a jak wiemy drzewa rosną przez całe lata i dekady. W grubych pniach posiadają własne dusze i umysły niepodobne do naszych. Mówią, że " strażnik " potrafi opuścić swoje miejsce i stać się duchem natury. Może stać się złym, psotnym chochlikiem albo łagodnym powiewem wiatru, pomagającym zagubionym podróżnikom, ale to wszystko zależy od ludzi. Są więźniami swoich ciał i zaprzeczają

wszystkiemu dookoła. Oni liczą czas inaczej. Żaden " strażnik " nigdy nie odpowiedział człowiekowi, a nawet jeśli to nikt ich nie zrozumie. Porozumiewają się między sobą szumem liści i skrzypieniem gałęzi. Kiedyś mówiono, że stworzyli wiatr, kołysząc swoimi koronami w takt szumiącej muzyki znanej tylko im. Karmią się promieniami słońca i wodą z ziemi. Jak długo żyją, tak długo chronią dany obszar przed złem. Nieliczni ludzie dostali dar łaski od nich. Nazywają się drwalami. Byli sługami Królowej Marilii. Mówią, że większość " strażników " opuściła ciała i poszła za nią, a ci, którzy zostali nie byli już tak bardzo przychylni ludziom... - odpowiedziałem.

- Po wygnaniu najbardziej byli przychylni dzieciom. Zawsze czujnie słuchali dzieci. - ciągnęła dalej zabójczyni.

Nie dostając swojej odpowiedzi milczałem. Coś za coś. Z czasem coraz bardziej czułem się samotny. Tego nie mogłem przeczekać. By zapomnieć, dalej grałem w jej grę. Zabójczyni chyba podjęła moje wyzwanie.

- Żebyś się nie zadręczał, powiem ci, że twoją Nirę nie mogli ochronić.

Przebywała wtedy na Równinach. Z dala od ich terenów. Ona jedna z nielicznych oddała się dobrowolnie. Choć w połowie. Została omamiona pieśnią koralowych sług. -

Na chwilę mnie zatkało. Skąd ona to wszystko wiedziała. Nie mogłem jednak niczego okazać. Odwróciłem głowę w stronę martwego lasu. Po tym widziałem wszystko jasno. Nie miałem z nią szans. Wiedziała o wiele więcej, niż ja.

- Dlaczego mi to mówisz? Przejdź wreszcie do rzeczy. Nie wiem tylu faktów co ty, ale wiem, że chcesz mnie wykorzystać. Teraz ja stawiam warunek. Powiedz mi kim jesteś. Ty wiesz o mnie i o moich bliskich wszystko, a ja o tobie nic. Jeżeli zostawisz to w takim stanie, będziesz musiała użyć całej swojej siły, by mnie powstrzymać. - postawiłem na szczerość i groźbę.

Teraz ona powinna grać czysto. Jeżeli to nie zadziała, musi mnie złamać. Jej postać momentalnie stała się jakby z kamienia. Ostra i wyrazista. Wcześniej, czasami jej postać ginęła w mroku, a się nie poruszała.

- Dawno temu rządziłam na królewskim dworze, choć nie pochodziłam z królewskiego rodu. Mych rad słuchał sam król, a moje czyny dawały wszędzie szczęście i dostatek. Żyłam dla tego królestwa, poświęcałam mu każdą chwilę swojego istnienia. Jednak ktoś nie potrafił doceniać mojej mądrości i oddania. Była to królowa. Uznała mnie za zagrożenie z nieprawdziwych plotek i przez złą obserwację dla swojego stanowiska.

Wcześniej zawarłyśmy pakt. Zerwała go, wyśmiała mnie oraz skazała mnie na tułaczkę w mroku, na poniżenie i życie w biedzie. Nie wygrałam tej walki. Nikt nie mógł się sprzeciwić sądom królowej. – zeszła z płotu, podeszła i kucnęła przede mną. Podeszła tak blisko, że prawie stykaliśmy się nosami, a nadal nie widziałem jej twarzy. Z spod kaptura wystawał jej tylko nos, który był okryty czarną chustą. Oczy były tylko dwoma czarnymi, iskrzącymi się złowrogo punktami.

- Chcę również, zawrzeć z tobą pakt. Umowa stoi? –



Popiół, smar i zgnilizna

Nie mogłem się powstrzymać. Skrzywiłem się. Pachniała popiołem, smarem do maszyn i zgnilizną. Była o pół głowy niższa ode mnie. Znalazłem się w niekomfortowej sytuacji. Moja rodzina zniknęła, zostałem sam. Bliska przyjaciółka z dzieciństwa* znajduje się w stolicy oddalonej o co najmniej miesiąc drogi. Zabójczyni chce, żebym pomógł matce, która jeszcze nie wie, że ma jakieś problemy. Wedle jej słów nadchodzi coś wielkiego. A ja w tym wszystkim ledwo otrząsnąłem się po tym, co mnie spotkało w opuszczonym domu.

- Dlaczego chcesz umowy? I tak sądzę, że będziesz mnie cały czas obserwować. - odpowiedziałem.

To było najrozsądniejsze posunięcie. I tak nie miałem już nic do stracenia. Otoczenie jakby zaczęło się zmieniać. Noc się kończyła. Gwiazdy zbladły, ale niebo było cały czas tak samo czarne.

- Mów, chcę wiedzieć wszystko na temat podróży. - zażądałem.

Odsunęła się i usiadła na wcześniejsze miejsce na płocie.

- Pomogę ci w dotarciu do swojej przyjaciółki, a ty pomożesz mi w dotarciu na królewski dwór. Główną rolę będziesz odgrywał ty. Gdziekolwiek się pojawisz będę tam i ja. - zaczęła
- Moja moc jest wielka, ale pałac królewski chronią już nowe czary. Współpraca z tobą jest w stanie zapobiec wykryciu moich czarów. -

- Lepiej wysłać do gniazda szerszeni, naznaczoną sierotę nieświadomą, sytuacji. - skomentowałem z ironią.

- Nie jesteś sierotą Tarnisie, masz matkę, a do " gniazda " przyjmą cię z otwartymi ramionami. Ja o to zadbam. - odpowiedziała mi zabójczyni. - Nigdy nie zabraknie ci jedzenia i dachu nad głową. Będziesz podróżował na koniu, aż do Równin. Na jeziorach i bagnach będziesz miał transport czy przewodnika. W pierścieniu miast wokół stolicy będę cię prowadzić osobiście. W ostatnim etapie, czyli jak dostaniesz się już do pałacu, pomogę ci najpierw odzyskać dziewczynę. Potem zajmiemy się problemem twojej matki. Umowa stoi? - zapytała twardo.

- Jaki tkwi w tym haczyk? Czy aby problem mojej matki nie jest dla ciebie priorytetem? - dociekałem. Ten schemat był za prosty. Miałbym podróżować konno i z przewodnikiem? Przecież zwróciła się do mnie wędrowcze.

- Zostaniesz naznaczony. Pozwoli mi to na mniejszym zużyciu energii potrzebnej do tej podróży. Będziesz mnie widzieć w cieniu i w odbiciu oraz informował mnie o dalszych postępach podróży. Zgadzasz się czy nie? - odpowiedziała mi szybko.

Nie zamierzałem dalej naciągać. Podjąłem już decyzję.

- Masz jakieś specjalne zastrzeżenia co do potwierdzenia umowy? - zapytałem spoglądając na nią z ukosa.

* " dawna przyjaciółka " chodzi o to, że Tarnis nie widział Niry od czterech lat, a ostatnio widzieli się gdy mieli po 16 (Tarnis) i 7 (Nira) lat.



Plecak, kubek i śpiwór

- Na razie wystarczą mi twoje słowa, potem gdy dasz się naznaczyć będzie to potwierdzenie umowy. Idź. W domu znajdziesz kilka potrzebnych rzeczy. -

- Masz moje słowo. - obróciłem się w stronę domu.

Jednak to nie on zwrócił moja uwagę. Był już przedświt, a miejsce w którym się znajdowaliśmy prawie się nie zmieniło. Otoczenie zaczęło nabierać kolorów, ale nie takich samych jakie znałem. Rośliny wyglądały na zgniłe, wysuszone oraz sprawiały wrażenie jakby zrobione z popiołu, jeden ruch i już ich nie ma. Z dreszczem na plecach, wszedłem do domu.

Teraz wpadało do niego trochę światła wschodzącego słońca. Znalazłem w nim metalowy kubek, śpiwór oraz szmaciany plecak. Włożyłem śpiwór do plecaka, jako prowizoryczny pokrowiec na niego. Kubek przyczepiłem do jednej z szelek plecaka. Gdy wyszedłem zabójczyni czekała już na mnie z karym, osiodłanym koniem. Zwierzę wyglądało na bardzo silne. Stało sobie spokojnie, przywiązane do płotu.

- Wiesz, gdzie masz jechać. Pierwszy raport złożysz mi gdy wyjedziesz z dolin, a będziesz miał widok na równiny. – powiedziała, poprawiając szal.

Kiwnąłem twierdząco głową, że zrozumiałem. Przyczepiłem plecak do siodła i spojrzałem w kierunku gdzie stała zabójczyni. Nie było jej tam. Wsiadłem i pogałem konia pomiędzy drzewa, by wyjechać z tego martwego miejsca.

= - _ . _ - =

Po krótkiej jeździe zatrzymałem się nad strumieniem, by opłukać kubek z kurzu. Z nad strumienia wydziałem miasto Maragorn. Za mną był las bezlistnych gałęzi i suchych pni. Przede mną rozciągał się widok na jedną z wielu mniejszych dolin składających się razem na Dolinę Zachodnią. Koń wypił tylko kilka łyków wody i parsknął jakby chciał jechać dalej. Był naprawdę szybki i silny, ale na szczęście nie porywisty. Znów wsiadłem na konia i pogałem przed siebie.

Była wczesna godzina, nie spałem połowę nocy, lecz czułem się senny. W ciągu całego dnia udało mi się przejechać znaczna część podróży przez dolinę. Zdziwił mnie ten fakt. Gdybym podróżował z karawaną, nie uzyskałbym takiego wyniku. Pierwszą część moglibyśmy zakończyć w środku nocy, a tak, sam przebyłem o wiele więcej. Podczas podróży miałem dużo czasu do przemyśleń. Ważny cel zmienił wszystko. Nawet przyćmił tę umowę. Wiedziałem, że nic nie jest już takie samo. Musiałem szybko zacząć pojmować nowe zasady i reguły w tym świecie. Wiele rzeczy były dla mnie zagadką. Jednak nowe i ważniejsze sprawy miały dopiero zająć mi głowę.



Nowy początek

Ze snu obudziły mnie czyjeś jęki i cichy chichot. Wygrzebałem się z śpiwora i spod koców. Usiadłem i rozejrzałem się dookoła. Przede mną dopalało się ognisko, a wokół niego znajdowało się kilka beżowych śpiworów, oddychających spokojnie. Była noc.

Po chwili przypomniałem sobie, gdzie jestem. Dwa dni temu, pewna grupa pochodząca z gór zaproponowała mi wspólną podróż. Przewodził nimi grubszy mężczyzna o imieniu Borg. Grupa składała się z jednego wozu i czterech koni. Wóz był przykryty czarną płachtą. Kobiet było trzy, a mężczyzn pięć, razem z Borgiem. Mężczyźni byli ochroną, a kobiety przygotowywały posiłki i prały ubrania. Wszyscy mieli czarne odzienia, panie miały zakryte twarze, tylko Borg wyróżniał się elementami niebieskiego i szarego koloru oraz srebrnymi ozdobami. Wszyscy spali wokoło ogniska, a Borg spał we wozie. Nie zauważyłem mężczyzny, który powinien pilnować obozu. Jęk powtórzył się. Byłem pewien, że są to jęki kobiety.

Podszedłem do dwóch beżowych śpiworów, położonych blisko siebie. Kobiety spały spokojnie, powinno ich być trzy. Ruszyłem do wozu. Może Borg wziął jedną z nich jako konkubinę? Moje przemyślenia okazały się nie być trafne. Borg spał sam. Obudziłem go, lekko potrząsając za ramię.

- Hra... Co? Co? - mruknął ze złością Borg.

- Jedna z twoich kobiet i strażnik pilnujący obozu, zniknęli. - powiedziałem szybko.

Borg zareagował prawie natychmiast. Najwidoczniej był przywiązany do swoich ludzi. Gdy okrył się płaszczem, obudziliśmy trzech pozostałych mężczyzn. Wzięli miecze. Razem poszliśmy w stronę jęków. Ja szedłem na końcu. Odgłosy doprowadziły nas na małą polanę. Akurat tutaj rośliny były normalne, a nie takie jak te, wokół domu drwała. Na nie było tam nikogo. Jęki na chwilę ustały. Borg i mężczyźni byli rozkojarzeni nagłą ciszą.

Ja jednak wiedziałem dokładnie, skąd dobiegał wcześniej dźwięk. Zabrałem miecz z pochwy mężczyzny obok i silnym ruchem ściąłem górną część dużego krzewu, po prawej stronie polany. Gałęzie poleciały na ziemię. Przed nami pojawił się widok zaginionego strażnika i kobiety w jego objęciach. Była do połowy rozebrana. Oddałem pospiesznie broń właścicielowi i cofnąłem się ustępując miejsca Borgowi.

- Ty niewdzięczniku! Jak śmiałeś zbliżyć się do jednej z moich kobiet!? - krzyczał.

Kobieta próbowała chronić swojego kochanka, ale bezskutecznie. Dwaj pozostali wzięli strażnika, a kobietę

prowadził osobiście Borg. Pozostało mi tylko patrzeć na przebieg wydarzeń. Po powrocie do obozu Borg obudził śpiące kobiety.

- Czy wiedziałyście o ich schadzках? - zapytał je pierwsze.

Kobiety widząc gniew Borgia i płacz tamtej, w wielkiej trwodze pokiwały tylko przecząco głowami. Następnie zapytał mężczyzn pilnujących strażnika.

- A wy? - widać było, że ta odpowiedź była dla nich trudna.

Tamten klęczący między nimi wyglądał, jak ich brat. Zapewne chcieli go jakoś uchronić przed karą, ale się poddali.

- Nie, nie wiedzieliśmy. - powiedzieli trzej razem.

- Zdrajcy! Nawet nie chcieliście pomóc swojemu bratu! - zaczął krzyczeć i szarpać się strażnik.

Więcej nie mógł wykrzyczeć, bo Borg uderzył go pięścią w twarz. Cios powalił mężczyznę na ziemię.

- Zamilcz oszuście! -

Kobiety skuliły się ze strachu, a przyłapana rzuciła się by pomóc czy zbliżyć się jakoś do kochanka, ale bezowocnie. Jeden z mężczyzn brutalnie kopnął ją w twarz posyłając o wiele dalej niż wcześniej siedziała. Obserwowałem to z pewnej odległości, oparty o drzewo. Uniosłem brew. Borg wcześniej nie okazywał, aż takiej złości czy agresji.

- Jutro wymierzę wam obu karę. Teraz zwiążcie ją, a niego przywiązać do wozu, mocno. - rozkazał Borg.

Potem odwrócił się do mnie.

- Dziękuję ci Tarnisie... - zaczął.

- Nie dziękuj mi. - przerwał mu - Od pewnego czasu śpię jak wilk. Drzemka, pobudka, drzemka, pobudka, czy to moja zasługa, że jej jęki po prostu mnie obudziły? Lepiej opanuj się i przygotuj odpowiednią karę dla tych dwojga. - przerwał mu - Ale czy mógłbyś mi wytłumaczyć, dlaczego twoje kobiety mają zakryte twarze? - ta sprawa bardziej mnie nurtowała przez ostatnie dni, niż zachowanie i skutki spotkań tej pary.

- Zapraszam do mnie. - powiedział trochę zmieszany Borg.

W wozie było kilka skrzyń i wiele poduszek. Usiadłem na jednej ze skrzyżowanymi nogami. Była bardzo wygodna. Borg usiadł naprzeciwko mnie, na o wiele większej stercie poduszek.

- Nasza religia wymaga, byśmy nosili czarne stroje, a kobiety zakrywały twarze. To symbole twardości ducha, a jednocześnie zakryta twarz oznacza czystość. Akurat w moim stroju możesz dostrzec kolory. Tylko kapłani mogą nosić inne ubrania. - wyjaśnił Borg.

Nie znajdowałem w tym jakiegoś związku, ale nie zamierzałem nad tym rozmyślać, bo Borg mówił dalej.

- Jeżeli nie chcesz podziękowań, przyjmij chociaż przeprosiny, że musiałeś być świadkiem takiego zdarzenia. - tu przerwał i sięgnął ręką do jednej ze skrzyń.

Nacisnął na wieko i otworzyło je.

- Przyjmij chociaż te zapasowe ubrania moich strażników. Są o wiele wytrzymalsze od twoich ubrań. - oznajmił podając mi czarne spodnie, kaftan i sznurowane buty do pół łydki.

- Dziękuję, dobrej nocy - odpowiedziałem, przyjmując ubrania.

Borg nie odpowiedział mi. Spał już na poduszkach w płaszczu. Wyszedłem z wozu, schowałem ubrania do plecaka i położyłem się ponownie spać.



Arkady Gwiazd

Rano po nieprzespanej nocy i przykrych wydarzeniach ludzie Borga robili wszystko jakby inaczej. Na odwrót. Pierwsi obudzili się mężczyźni, by zająć się końmi, a potem zjeść. (wcześniej najpierw jedli, przebierali się, dużo rozmawiali i na końcu przygotowywali konie. Teraz milczeli.) Kobiety obudziły się drugie i od razu ruszyły do wozu, by wziąć razem naczynia z wodą. Potem od nowa rozpały ogień i zaczęły przygotowywać jedzenie. (pierwsze powinny obudzić się one i od razu przygotować śniadanie, a potem zacząć szykować obóz do dalszej drogi.) Nie wiedząc, co robić, poszedłem z mężczyznami do koni.

Wierzchowce były przywiązane do dwóch drzew blisko wysokiej trawy. Teraz tej trawy prawie nie było. Kary koń należący do mnie, parsknął przyjaźnie. Nigdy nie mogłem zrozumieć z czego on tak się cieszy. Z tego, że jestem, że będzie mógł dalej jechać czy, że zje na popasie nową porcję trawy. Inne konie bardzo się od niego różniły. Były chude,

kiedy on prężył się od mięśni. Miał duży łeb, kiedy one miały smukłe głowy, małe uszy oraz chrapy. Były bułanej maści, a mój rumak był kary. Od razu było widać, że się nie lubią. Osiodłałem go i przywiązałem do innego drzewa bliżej obozu. Moja podróż z grupą miała się niedługo skończyć.

Razem przebyliśmy drugi etap, a dzisiaj mieliśmy rozpocząć trzecią część podróży przez Dolinę Zachodnią. Grupa po wyjeździe z Dolin miała odbić na południowy zachód do miasta Eregorn, a ja pojechałbym dalej na północny-zachód na Czerwone Równiny. Po osiodłaniu koni wróciliśmy do obozu. Borg czekał na nas ze śniadaniem. Kobiety przygotowały suszone mięso, jajecznicę oraz napar z liści mięty i jeszcze z innego nieznanego mi zioła. Borg właśnie kończył swój posiłek. Usiedliśmy do śniadania. Zauważyłem, że dostałem trochę większą porcję niż do tej pory. Postanowiłem jednak niczego nie okazywać, aż do kolejnego postoju.

Ruszyliśmy dalej. Dzisiaj pogoda nam nie sprzyjała. Na zmianę wiatr z deszczem zrzucały nas z trasy. Do wieczora nie przeszliśmy dużego odcinka drogi. Był też jeszcze jeden problem. Znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni.

Jedynym wyjściem było schowanie się między większymi wzgórzami. Stanowiłoby to minimalną osłonę, chociażby od wiatru. Deszcz nie ustawał. Był zimny i ranił nieodkrytą twarz małymi igłami lodu. Po tym jak schowaliśmy się doszła, mgła. Dopiero w połowie nocy deszcz ustał. Podczas nawałnicy wszyscy schowali się w wozie Borga, oczywiście oprócz kochanków. Zauważyłem, że Borg jeszcze nie ogłosił jak

będzie przebiegać ich kara. Czyżby zwlekał z podjęciem decyzji? Wyszedłem z wozu i spojrzałem w niebo.

Była piękna noc. Niebo stał się bezchmurne, a mgła już opadła. Nad nami płonęły tysiące gwiazd. Świeciły o wiele jaśniej niż dotychczas. Szukałem wzrokiem jednej gwiazdy i konstelacji Słońca, a w niej wypatrywałem Gwiazdy Zmierzchu. To ona zawsze prowadziła nas do celu. Mówią, że Gwiazda wisi dokładnie nad Srebrnym Pałacem Królowej Marilii. Oczywiście nikt nie wie, gdzie dokładnie znajduje się ten punkt na mapie. Ludzie mogą tylko snuć nieprawdziwe historie na temat tej twierdzy. Powiadają najczęściej o Arkadach Gwiazd.

Właśnie tam, powstają nowe gwiazdy. Kiedy widzisz spadającą gwiazdę, właśnie zakończyła swój żywot na niebie, a w Arkadach są przygotowania. Pierzaste węże zamieniają się wtedy w światło księżyca, by zbliżyć się do gwiazd. Potem znowu przemieniają się i zbierają na skrzydłach pyłu, który gubi gwiazda. Dalej ostrożnie zanoszą go do Arkad. Tam czekają na pył gwiazdy kapłani. Każdą jedną kolumnę porasta bluszcz. Przy ziemi są donice z ziemią. Kiedy gwiazda spada, jeden bluszcz usycha. Zebrany pył wsypuje się w ziemię, gdzie usechł bluszcz. Jest to zabezpieczenie.

Chodzi o to, by gwiazda wróciła na swoje wcześniejsze miejsce w konstelacji. Po zasypaniu pyłu ziemią, bluszcz ożywa, a gwiazda następnej nocy powraca na swoje miejsce. Kapłani pilnujący Arkad muszą zmieścić się w czasie spadania. Jeżeli nie zdążą, gwiazda przepadnie, a jej bluszcz nigdy się już nie odrodzi. Wtedy wykopuje się roślinę, a z suszu tworzy się

olejki. Za obserwację nieba są odpowiedzialni tylko wybrani kapłani.

Niebo zmieniło się w gwiazdny szlak, mieniący się wszystkimi kolorami. Szmaragdową zielenią, żółtym w odcieniu złota, sinym fioletem czy purpurą. Nie znalazłem gwiazdozbioru, ani jednej gwiazdy z niego, a jest to bardzo duża konstelacja. Dostrzegłem tylko gwiazdę Grozy. Jest to bardzo dziwna gwiazda. Dlaczego? Mianowicie ona się przemieszcza. Jest to zwiastująca gwiazda. Zobaczysz ją wszędzie, gdzie wydarzy się jakaś tragedia, czyjaś śmierć czy po prostu coś złego. Martwiłem się trochę.



Lampionowe Koło

Cała grupa nie spała i wszyscy byli przemoknięci.

Podszedłem do swojego konia. Przebył trudną drogę. Zdjąłem siodło i uprząż, żeby mógł odpocząć. Wierzchowiec skubnął mnie w ramię jakby w podzięcie i spokojnie odszedł, mając łeb przy ziemi. Kobiety wyszły po pewnym czasie po mnie. Niosły jakieś misy i flakony. Nie widziałem ich wcześniej, nawet w wozie Borga. Zaczęły rozkładać przyniesione rzeczy w pewnej odległości od wozu.

Borg z mężczyznami najwyraźniej nie mieli zamiaru wychodzić. Przywiązany do lewego boku powozu strażnik milczał, zaś jego kochanka cały czas coś mamrotała. Słyszałem jej szept nawet przez burzę i wiatr. Zapewne przeklinała Borga oraz mnie za odkrycie i przeszkodzenie w jej sekrecie. Na szczęście była przywiązana do prawego boku wozu. Kobiety przynosiły cały czas nowe naczynia. Spojrzałem w stronę wozu. Strażnik nagle usiadł wyprostowany. Biegał wzrokiem od jednej do drugiej kobiety jakby nie mógł w coś uwierzyć. Cały czas jednak milczał.

Borg razem z ochroną w końcu wyszli z wozu. Choć była noc, nie było księżyca, który mógł oświetlać otoczenie. W blasku

gwiazd dostrzegłem zmiany w ubiorze Borga i mężczyzn. Borg nie miał płaszcza, a długą szatę i turban na głowie. Mężczyźni założyli długie płaszcze, które zasłaniały im całe ciało. Borg podszedł do mnie.

- Podjąłem decyzję, Tarnisie. Za chwilę rozpocznie się proces, który ukarze tych dwojga. Radzę ci przebrać się w te ubrania, które dostałeś ode mnie. - powiedział krótko.

Potaknąłem głową, wziąłem suche ubrania i ruszyłem w stronę wozu, unikając spojrzenia strażnika. Bardzo chciałem przebrać się w suche ubrania. W środku znalazłem kilka małych ręczników. Wytarłem się i zacząłem zmieniać ubranie. Spodnie i kaftan były bardzo wygodne, aczkolwiek w pewnych miejscach gryzły. Zapięcie kaftana nie było takie łatwe. W pewnym momencie do wozu weszła jedna z kobiet. Podeszła do mnie i zapięła go w parę chwil. Na szczęście zdążyłem założyć wcześniej spodnie. Zabrała ze sobą kilka rzeczy i bez słowa wyszła. Pozbierałem mokre rzeczy i również wyszedłem z wozu.

Zauważyłem, że coś jest nie tak. Było cicho, nie słyszałem mamrotania kobiety. Rozejrzałem się po bokach wozu. Para kochanków zniknęła. Spojrzałem w stronę, gdzie wcześniej kobiety rozkładały naczynia. Zebrali się tam wszyscy, oprócz mnie. Dołączyłem do zebranych. Kobiety ułożyły naczynia w koło. Wszystkie miały pokrywkę. W środku koła, przywiązani do siebie i odwróceniem plecami klęcząca para, czekająca na treść i przebieg kary, która miała ich spotkać. Koło oświetlały małe lampiony, zrobione z granitu. Czy kobiety naprawdę przyniosły je w tych naczyniach?

Dopiero gdy wszedłem w pole światła lampionów, dostrzegłem różne elementy we własnym ubiorze. Rękawy były o wiele węższe, niż w kaftanach reszty mężczyzn. Miał duży kaptur i małą pelerynkę sięgającą do łopatek. Na całej długości posiadał ozdobny haft. Był prawie niewidoczny, ale lśnił w świetle lampionów. Spodnie były z innego materiału, bardziej lśniącego, ale tak samo zszytego jak reszta spodni. Miał podszewkę z krowiej skóry. Nie wiedziałem, że krowia skóra, aż tak dobrze trzyma ciepło. Spojrzałem pytająco na Borga.

- Dlaczego dostałem akurat te ubrania? Powiedziałaś, że są to zapasowe stroje twoich ludzi. - domagałem się wyjaśnień.

- Okłamałem cię. Wybacz, ale nie mogłem dać ci innych. Nie chciałaś przyjąć podziękowań, więc okazałem ci wdzięczność inaczej... - wyjaśniał Borg, ale przerwałem mu.

- Dobrze, nie szkodzi, ale powiedz czy ten ubiór był dla kogoś już przeznaczony czy może do kogoś już należał? -

- Miał należeć do mojego syna. - odpowiedział Borg, po chwili dodał - Ale, że nie mam dzieci postanowiłem je dać tobie. -

Przytaknąłem nieznacznie głową, że rozumiem. Przykra sprawa. Zacząłem wpatrywać się w płomień jednego z lampionów. Z ciekawości policzyłem je. Było ich piętnaście. Święta liczba dla religii Vannaism. Nagle tknęła mnie pewna myśl. Borg i jego ludzie byli wyznania Vannaizmu?



Święto Zboża i Ogniska

Kiedyś, gdy miałem 13 lat zatrzymaliśmy się w Eregorn na Święto Zboża i Ogniska. W tym mieście panowała religia Vanna*. Jej wyznawcy uważali to miejsce, na którym wzniesiono miasto za święte. Odkryli je nie dawno. Ich nowy prorok czy nauczyciel wskazał im to miejsce (podobno się tam urodził).

Za dnia mężczyźni z miasta szli pomagać ludziom z obrzeży czy ze wsi. W południe wszyscy zbierali się na polach oraz wspólnie kosili zboże, pszenicę, żyto i jęczmień. Zwozili zebrane plony do młynów. Po żniwach rozpoczynała się zabawa oraz rozkładano kramy. Paliło się chwasty i nieudane plony płonęły w wielkich ogniskach, co według wierzeń miało zapewnić słońce w lecie oraz ciepło na przyszły sezon. Całe Eregorn tętniło życiem i było pełne ludzi.

Do wieczora.

Gdy słońce zaczynało zachodzić, a niebo przybierać inne kolory, ludzie i atmosfera momentalnie się zmieniała. Niektórzy uczestnicy spoza miasta wyjeżdżali pięć godzin przed zmierzchem, kiedy zabawa jeszcze trwała. Wyznawcy innej religii zamykali wszystkie drzwi oraz okna na jeden

dzień. Po Świącie Zbóż i Ognisk nastawał dzień Aru. Wyznawcy bawili się swobodnie, a po północy zbierali się wokół dużych ognisk. Mężczyźni przebrani w białe koszule, nacierali się różnymi olejkami, zaś kobiety zakładały białe suknie i wianki na głowy. Tańczyli tańce znane tylko im dla Hilomscro**. Składali mu ofiary z małych szczeniąt, królików i gołębi. Gdy ofiary dopaliły się, zaczynali zaspokajać swoje potrzeby. Kapłani - konkubiny czy służba, zwykli ludzie - panie lekkich obyczajów oraz żony, czasami zdarzały się " spotkania " osób tej samej płci.

Ich " świętowanie " trwało też przez dzień. Pijani czy na kacu zaczepiali każdą napotkaną osobę w mieście. Nie obchodziło ich czy dana osoba jest tego samego wyznania, czy innego. Jeżeli nie zgodziła się na ich głupie, szalone czy nienormalne pomysły, byli w stanie popełnić o wiele gorsze rzeczy niż te, w nocy. Mało ludzi wie, że wyznawcy Vannaizmu tak naprawdę czczą Boga Kozła. Dla nich czas biegnie inaczej, a gwiazdozbiory są inne, prawie każdy aspekt dnia ma swój rytuał.

Bóg Kozioł wymaga od nich wielu rzeczy. Ofiary czy same modlitwy większej wagi są już makabryczne. Nie chcę myśleć, jakie rzeczy trzeba zrobić, by zostać kapłanem. Ich " świętą " liczbą jest piętnastka, dlaczego akurat ta, tego nie wiem. Schronienia podczas święta udzielił nam karczmarz, a pomoc w wystawianiu stołów oraz ich chowaniu zaoferowaliśmy sami (ja zajmowałem się noszeniem pustych kufli do baru tam i z powrotem oraz dbaniem o picie i jedzenie dla muzyków). Pierwszy udział w Świącie Zboża i Ogniska

pamiętam bardzo dobrze. W noc mama podała mi pewien środek, żebym twardo spał. Drugi udział spędziłem razem z Nirą. Na straganie kupiłem jej brzoskwinie. Później z pestki zrobiła sobie naszyjnik.

Gdy skończyłem 17 lat tata kazał mi znaleźć i przyprowadzić do tawerny, w której nocowaliśmy moją kuzynkę. Zawsze robiła wszystko na odwrót i przeciwko rodzicom. Uciekła i dołączyła do tańczących. Mama znalazła białą koszulę, a tata przewiązał mi biodra grubym, ozdobnym pasem. Powiedział, że gdybym odwiązałem pas spotka mnie o wiele gorszy los, niż barana Milana (zachorował na nie znaną nam chorobę, zabił trzy jagniątko, stado go odrzuciło, wyłupał sobie oko, a drugie zjadły mu kruki, ślepy walczył ze watahą wilków, które rozcięły mu brzuch, przez dwa dni jadł swoje bebechy, a na koniec spadł ze skarpy). Było mi przykro, że mi nie ufał.

Poszedłem do ognisk. Przez pierwsze minuty na szczęście nikt mnie nie zaczepił. Było bardzo dużo ludzi. Zdziwiłem się widząc stół z ławami. Był ustawiony pod dużym dębem. Na chwilę usiadłem wśród pijących. Na stole znajdowały się tylko najmocniejsze trunki, jakie znałem, oraz po które nigdy bym nie sięgnął. Z ławy obserwowałem uczestników. Nie zauważyłem kuzynki. Obok mnie siedział mężczyzna o białych włosach. Na szyi wolno kołysał się medalion, ale nie mogłem dostrzec kształtu w świetle ognisk oraz nie interesowało mnie to zbytnio. Zapytałem sąsiada, w którą stronę ciągną się dalej ogniska. Rozmówca nic nie powiedział, tylko kiwnął głową w kierunku, którego się obawiałem.

Dalej, głębi lasu, bawili się kapłani. Podziękowałem sąsiadowi i odszedłem. Tam nie mogłem zostać za długo. Kapłani rozstawili się na małej polanie, na której zmieściły się tylko trzy ogniska. Wśród grubszych mężczyzn i szczupłych dziewczyn znalazłem uciekinierkę. Żartowała ze starszym kapłanem, który bujał się na pniu drzewa jakby był w kołysce.

Wcielając plan w życie, który wymyśliłem podczas obserwacji z ławy, dołączyłem do grupy tańczących dziewczyn. Tańczyły swobodnie w małej grupce. Złapałem jedną za rękę i obróciłem w tańcu do siebie, uśmiechając się. Spojrzała tylko na mnie spod rzęs, odwzajemniła uśmiech i tańczyliśmy dalej, zbliżając się nieznacznie do rozmawiającej kuzynki. W pewnym momencie, jednak dziewczyna się zatrzymała, chwyciła za pas i przyciągnęła mnie bliżej do siebie. Nie dałem się jej ponieść. Byłem za blisko wykonania planu. Podłożyłem jej nogę tak, że poleciała na miejsce nieświadomej kuzynki w tym samym momencie chwytając ją za rękę. Plan się udał.

Kuzynka nawet nie zauważyła, kiedy odeszła od swojego rozmówcy, cały czas trąkotała o podjętym temacie z starszym kapłanem. Nie słuchałem jej. Oprzytomniała dopiero, gdy odeszliśmy od światła ognisk i gwarne tłumy. Zaczęła się szarpać i coś bełkotać. Powoli nie dawałem sobie z nią rady, ale udało mi się przejść taki kawałek drogi do obozu, że reszta rodziny mogła wyjść mi naprzeciw i pomóc. Gdy tata rozwiązał mi pas, klepnął mnie tylko po ramieniu i kazał iść spać. Nigdy później nie uczestniczyłem w żadnym ze świąt tej religii.

* skrót od Vannaizmu

** Hilomscro jest pośrednikiem między wszystkimi bogami. Posiada postać psa ze skrzydłami albo sowy o piórach w kolorze indygo.



Klinga Unwizmu

Nie mogłem już odmówić udziału, ani niczego zrobić. Miałem stać się świadkiem rytuału, podczas, którego zostanie wymierzona kara albo coś gorszego.

Borg, trzech braci zdrajcy i dwie kobiety oraz ja ustawiliśmy się za lampionami w pewnej odległości. Krąg był podzielony na cztery części jak strony świata i po pięć lampionów, tak jak zbiór traktatów dotyczących żywiołów wedle wierzeń tej religii. Dwaj mężczyźni stanęli po obu stronach trzeciego lampionu, a po drugiej stronie tak samo ja z trzecim mężczyzną, Kobiety ustawiły się naprzeciwko drugiego lampionu z obu stron. Borg zajął miejsce przed środkowym (trzecim) światłem zamkniętym w granitowych świecznikach. Rytuał się zaczął. Borg wszedł do kręgu światełek i przemówił.

- Wasza kara za zdradę i potajemne spotkania została podjęta. Tej nocy poświęcimy starą klingę Unwizmu. Tą bronią przemienimy was w istoty podatne na służbę w Zawalonym Dworze i w Lamentującym Pochodzie Krwawej Damy. –

(wyznawcy Vanna wyobrażali sobie, że Królowa Marila ma siostrę - Krwawą Damę. Kiedyś posiadała imię i życie, ale wedle ich wierzeń, kiedy siostry się rodziły było tak dużo krwi,

że zanim zostałaaby przecięta pępowina, utopiłyby się w niej. Cudownym sposobem jednak udało się uratować jedną siostrę kosztem drugiej. Razem ze śmiercią drugiej siostry umarła i matka. Rodzina chciała zebrać do srebrnej misy krew, ale zapełnili jednak całą wannę. Nikt po żałobie nie wiedział co zrobić dalej. Po pięciu latach z wanny wyszła zmarła siostra. Była w takim samym wieku, co siostra. Razem spędziły piętnaście lat, a druga siostra zniknęła. Tak naprawdę przeniosła się do innej rzeczywistości, gdzie to jej siostra ginie zamiast niej. Dwór, w którym się urodziły (Zawalony Dwór, dlaczego jest zawalony to inna historia razem z klingą) cały należał do niej, a Lamentujący Pochód jest świętem obchodzonym na jej cześć. Wierzący uważają ją za matkę. (kogo za ojca nie chcecie wiedzieć))

Gdybym był złym człowiekiem powiedziałbym, że reakcja skazanych była przepiękna, a jeśli wrażliwym, sama ich reakcja zniechęciłaby mnie do uczestnictwa w kolejnych etapach tego szaleństwa. Na szczęście jednak, chociaż nie mogłem nic zrobić. Byłem ciekawy co stanie się dalej.

(całe to wydarzenie nie jest jakimś ważnym faktem. " Poświęcenie " klingi z ostrzem oraz " przemienienie w inne istoty " dla niewierzącego jest obojętne, ale dla wierzącego już nie. Udział w Lamentującym Pochodzie i służbę w Zwalonym Dworze jest uznawana za wysoką karę. Nie można wrócić do wcześniejszej postaci oraz życia)

Parę skazańców wyniesiono z koła, a na ich miejsce przyniesiono płaski kamień. Zdziwiony rozejrzałem się po otoczeniu. Z skąd go przynieśli? Wzgórza i nocne niebo,

miejsce, w którym się znajdowaliśmy zmieniło się. Zamiast wzgórz były wydmy piasku, niebo było koloru purpury i jakby przykryte dymem podczas wielkiego pożaru. Konie i wóz zniknęły. Spojrzałem ponownie na krąg.

Ołtarz był już przygotowany. Po bokach stali dwaj mężczyźni, a za Borgiem jedna z kobiet. Teraz za okręgiem byłem tylko ja, mężczyzna na przeciwko i skazańcy. Kobieta za Borgiem weszła na ołtarz i się na nim położyła, splatając ręce na piersi.

Borg podniósł ręce do góry, a małe światła lampionów prawie na natychmiast wydłużyły się i urosły do takich rozmiarów jak wysokość dorosłego człowieka i grubość młodego, wysokiego drzewa. Wyglądały jak kraty w klatce bez dachu. Kapłan zaczął wypowiadać słowa w nieznanym mi języku. Słowa były twarde, ale końcówki ich melodyjne. Borg co pewien czas zaciskał ręce w pięści. Na jego twarzy widniał gniew. Niesamowite było to jak bardzo się zmienił, jakby był innym człowiekiem.

Gdzieś w oddali usłyszałem tętent kopyt. Po chwili ów dźwięk zmienił się w ryk byków. Chociaż nie widziałem żadnego zwierzęcia, czułem wibrowanie ziemi i widziałem osypujący się piasek od ich biegu. Gdy Kapłan zamilkł echo i wibrowanie powoli ucichło. Po tym jednak nadszedł inny dźwięk. Lampiony wróciły do wcześniejszych rozmiarów, wokół zrobiło się ciemniej i zimniej. Poczułem się jakby w jakichś lochach. Słyszałem brzęk łańcucha i chrobotanie czymś o kamienne podłoże. Temu odgłosowi wtórował równy stukot kopyt. Były one delikatniejsze od tych wcześniejszych. I ten dźwięk po chwili ucichł.

Borg opuścił ręce i spojrzał na kobietę na ołtarzu. Dostrzegłem, że z jej oczu wypływały krwawe łzy, brudząc swoim kolorem jej blade policzki. Wyglądała na nieżywą. Borg wziął jej ręce i opuścił z piersi na brzuch. Jeden z mężczyzn przy ołtarzu podał mu krótki nóż, którego pochwa była zrobiona z zamszu i aksamitu. Rękojeść błyszczała się jak tafla jakiegoś czarnego jeziora. Gdy się przyjrzałem dostrzegłem, że zdobienie miało jeszcze odcień szkarłatu oraz średniej wielkości czarny klejnot w kształcie latawca. Borg wyjął broń. Jak się spodziewałem ostrze było stalowe.

Kapłan trzymał poziomo nóż nad ołtarzem. Jakby na znak, mężczyźni obok też wyjęli noże. Była to zwykła broń. Borg podjął jakąś pieśń. Mężczyźni także zaczęli śpiewać. Przy drugim refrenie, podcięli sobie żyły. Spłoszony tym ruchem stanąłem mocniej na nogach. Był to nagły i sprawny ruch. Ich żyły były przecięte wzdłuż rąk. Po krótkiej chwili obaj zaczęli się chwiać i tracić równowagę. Podbiegłem razem z trzecim mężczyzną. Razem trzymaliśmy strażników do końca pieśni. Zbierali krew do naczyń na ołtarzu. Cały czas tracili krew.



Ryk Bestii

Pieśń się skończyła. Strażnicy jakby dostali nowych sił. Mężczyzna, którego podtrzymywałem odepchnął mnie. Tak samo zrobił strażnik po drugiej stronie ołtarza. Rozejrzałem się. Mężczyzna wrócił na swoje wcześniejsze miejsce poza kręgiem. Chciałem zrobić to samo, ale w półkroku poczułem, że nie mogłem się ruszyć, jedynie co to oddychać oraz bezradnie błądzić wzrokiem.

Spojrzałem na ołtarz. Borg nie trzymał już noża poziomo, tylko pionowo. Czarne chmury ułożyły się w spiralę, a jej środkiem był właśnie nóż. Dym odsłonił też czerwone, zakrwawione niebo. Przez moje ciało przeszła fala bólu, a żelazne szczęki, które trzymały mnie, nie mogły powstrzymać drgawek. Zamknąłem oczy w tej samej chwili kiedy Borg opuścił nóż na ofiarę na ołtarzu.

= - _ . _ - =

Otworzyłem oczy. Czułem zimny wiatr. Nie stałem już między piaskowymi wydhami w kręgu z lampionów tylko leżałem, a niebo płonęło. Pod sobą czułem suchą i twardą ziemię. Podniosłem się i na klęczkach spojrzałem w stronę do, której

zmierzał wiatr. Zobaczyłem dwie wielkie jasne gwiazdy. Migwały złowrogo. Udało mi się stanąć na nogi.

Kilka metrów ode mnie stał ołtarz. Ten sam ołtarz z tą samą ofiarą. Po obu stronach kamiennego stołu leżały dwa ciała. Brzuchy tych ciał były rozszarpane i puste. Wszystkie organy zniknęły. Wiatr w pewnym momencie ustał. Wszystko stanęło. Do mojego nosa dotarł zapach krwi oraz rozkładu. Do oczu napłynęły mi łzy. Zakryłem nos rękawem. Wiatr powrócił. Wiał teraz w przeciwnym kierunku. Właśnie po ruchu wiatru spostrzegłem, że te dwie gwiazdy na płonącym niebie nie są tym czy są.

To były oczy. Nad zakrwawionym ołtarzem siedział wielki stwór. Nie widziałem żadnych zarysów jego ciała, tylko jego ślepie. Wiatr był po prostu jego oddechami. Patrzyłem z głową w górę na te dwa punkty, gdy potwór poruszył się. Z płonącego nieba wynurzyła się jego wielka głowa przypominająca psią, ale posiadała w górę zakręcone rogi oraz poziome źrenice. Za głową pojawił się tors oraz przednie łapy. Był naprawdę wielki.

Poczułem się senny i zrobiło mi się słabo. Chwiałem się na nogach. W tym samym czasie, Bestia zauważyła mnie. Ryknęła przerażająco głośno i zamachnęła się. Nic nie czułem. Widziałem tylko jak lecę z siłą uderzenia oraz jak zatrzymuję się na ziemi. Powieki opadły mi ciężko. Leżałem na boku, krwawiąc. Ktoś popchnął moje ramię i przewrócił na plecy. Nie widziałem jego twarzy. Obudziłem się.



Jasnozielona Pasta

To była ona. Zabójczyni. Stała nade mną, a ja leżałem. Mrugnąłem kilka razy, by oczy przyzwyczały się do otoczenia. Była noc. Zauważyłem, że jestem przykryty kocem. Odkryłem się. Miałem na sobie lekką, beżową, bawełnianą koszulę oraz spodnie od Borga. Czy to spotkanie wydarzyło się naprawdę? Po mojej lewej stronie leżał mój plecak. Wystawał z niego kawałek kaftana, także od Borga. Czy ona mnie przebrała?

Próbowałem podnieść się na lewym ramieniu, gdy poczułem wielki ból. Jakby ktoś wrywał mi je ze stawu. Zmieniłem ramię i opuściłem głowę. Na moje nieszczęście stała po mojej prawej stronie. Kucnęła i podniosła moją głowę. Patrząc mi prosto w oczy albo oglądając mój wyraz twarzy. Cały czas nie widziałem jej oczu ani twarzy z spod kaptura. Czułem metaliczne zimno od jej rękawic. Jej paznokcie wbijały się boleśnie w szczękę. Słyszałem cichy szmer ukrytych, małych urządzeń w nich. Nie wykrzywiłem twarzy w grymasie bólu, ale gniewu.

Nabrałem się i do tego myślałem za szybko. Powinienem najpierw spokojnie obejrzeć otoczenie, a potem swoje ciało. Przecież zaatakował mnie potwór.

Gdy już myślałem, że zacznę krwawić od ran na szczęce, puściła moją głowę, która opadła powoli. Ból nie ustępował. Podeszła do jakiejś torby i wyjęła kilka przedmiotów. Okrążyła mnie i położyła te rzeczy za mną. Delikatnie jak na po pozwalały jej mechaniczne rękawice, przewróciła mnie na plecy. Zwróciłem wzrok w jej stronę, ale nie obróciłem głowy. Na chwilę stanęła nieruchomo. Patrzyliśmy tak na siebie chyba przez minutę. Gdy nareszcie się poruszyła obserwowałem każdy jej ruch.

Przyniosła ze sobą małą miskę, podłużne naczynie, jakiś susz rośliny zawinięty jak bukiet i trzy fiołki. Jedna to była bardziej mała, pękata buteleczka, ale miała tak wysoki korek, że dorównywała tym innym flakonikom. Każda miała inny kolor szkła. Najpierw wlała zawartość fioletowej fiołki do płaskiego naczynia. Ku mojemu zdziwieniu zawartość okazała się bezbarwna i bezwonna. Pustą buteleczkę, zabójczyni odstawiała na bok. Zanurzyła w nim opuszki palców i paznokcie rękawic. Czyściła je?

Poruszała nimi trochę w płynie, wyjęła i otrząsnęła. Sięgnęła po susz. Rozwiązała sznurek i cały bukiet wrzuciła do małej miseczki. Dolała tam zawartość drugiej fiołki z granatowego szkła. Ciecz była ciemna i gęsta jak syrop. Kobieta zaczęła powoli mieszać zawartość miseczki cienkim patyczkiem, który na końcu posiadał łopatkę. Nie zauważyłem go wcześniej. Ciemna barwa prawie od razu zmieniła się w łagodny zielony i

zmienił swoją konsystencję na bardziej kremową i przypominał pastę. Zapewne od suszu.

Zabójczyni odłożyła miseczkę i odkorkowała ostatnią fiolkę. Miała ciemnozielony kolor oraz bardzo duszący słodki zapach. Trzymając pękatą buteleczkę w jednej ręce, sięgnęła drugą w moją stronę. Używając długiego szponu na palcu wskazujący rozcięła mi koszulę na lewym ramieniu. Gdy próbowała zdjąć ze mnie rozcięty materiał czułem się jakby zdejmowała mi skórę. Czyżby byłem, aż tak ranny?

Oderwany materiał odrzuciła jakby ze wstrętem. Popatrzyła przez chwilę i odeszła cały czas trzymając buteleczkę. Wróciła z kłębkami waty i szczypcami. Odłożyła flakon i zaczęła dzielić ją na mniejsze kłębki. Chwyciła szczypcami jeden z nich i zaczęła coś zbierać z mojego ramienia. Na początku szło łatwo, ale gdy sięgnęła po trzeci wacik wzięła też butelkę. Nasączyła zawartością, a wtedy zmienił kolor na jasnoniebieski. Po dotknięciu mojego ramienia ciecz zaczęła bardzo szybko się pienić. Strasznie szczypało i wydzielało nieprzyjemną woń, ale gdy wycierała innym kawałkiem waty, dawało miły chłód.

Długo jej to zajęło. Wykorzystane tamponiki* odkładała do płaskiego naczynia. Wszystkie były całe we krwi. Odkładając już chyba dwudziesty wacik (liczyłem je z nudów i by zająć coś myśli) obejrzała się, szukając nowych, ale wykorzystała wszystkie. Sięgnęła po miseczkę. Patyczkiem zaczęła nakładać pastę na rany. Po tym mogłem się zorientować, jak są duże. Okazało się, że miałem jedną dużą ranę. Zużyła całą miseczkę. Jakby wszystko było dowożone dokładnie.

Chciałem poruszać trochę ramieniem, bo nie bolało już tak bardzo jak przedtem. Te jej zabiegi pomogły. Czułem jakbym je tylko nadwyrężył. Gdy tylko ruszyłem się trochę, kobieta rzuciła się na mnie jakby miała mi przeciąć gardło.

- Nie ruszaj się. - wycodziła przez zęby.

Znowu poczułem zapach popiołu i zgnilizny. Gdy nie odpowiedziałem żadną reakcją, puściła mnie. Zaczęła zbierać przyniesione rzeczy. Znowu nie mając nic do roboty obejrzałem miejsce, którym się znajdowaliśmy. Dookoła otaczał nas ten sam, martwy las, pełen pustych gałęzi. Zabójczyni nawet nie rozpałała ogniska. Wszędzie było cicho.

W głowie kłębiły mi się to nowe pytania, ale nie chciałem już się męczyć. Niebo nie było już tak ciemne jak przedtem. Noc się kończyła. Chciałem ułożyć się wygodniej, przykryć się kocem i zasnąć, ale znowu jak się poruszyłem zabójczyni zareagowała dziwnie. Obróciła się szybko w moją stronę, ale gdy zobaczyła, że próbuję sięgnąć koca (miałem go na kolanach) nie podnosząc się, jakby się uspokoiła. Podeszła przykryła mnie i wróciła do torby cały czas w niej szperając.

Zasnąłem.

* wata chłonna wodę



Naznaczone Ramię

Obudziłem się zesztywniały. Koc grzał dobrze, ale nie mogłem położyć się na boku. Słońce właśnie wschodziło. Spałem jedynie kilka godzin. Ramię cały czas dokuczało. Gdy obudziłem się w pełni, nie zauważyłem nigdzie zabójczyni. Byłem sam. Odkryłem się i sięgnąłem do ramienia.

Jasnozielona pasta przyczepiła się do rany i stworzyła jakby osłonę. Mogłem ją jednym ruchem zdjąć. Z tym pomysłem zamierzałem czekać. Usiadłem. Mój plecak leżał tam gdzie wcześniej. Wyglądał na bardziej wypełniony niż wcześniej. Chciałem do niego zajrzeć, ale nie spieszyło mi się. Słuchałem i obejrzałem się. Wcześniej nie sprawdziłem, czy martwy las wydaje jakieś dźwięki. Było naprawdę cicho. Żadnego szelestu liści, ani skrzypienia gałęzi, żadnego śpiewu ptaków i odgłosów zwierząt.

W końcu zdecydowałem się na większy ruch. Powoli wstałem i podszedłem do plecaka. Pociągnąłem go bliżej śpiwora i

koca. Zajrzałem do niego. Oprócz kubka, mojego pierwszego ubrania i kaftana znalazłem :

dużą trójkątną chustę, kilka kawałków chleba i żółtego sera zawiniętych w materiał oraz bukłak z wodą.

Zostałem zaopatrzony w prowiant. Tak jak z plecakiem zająłem się i moim ramieniem. Zdjąłem osłonę z jasnozielonej pasty. Bolało. Rana była w lepszym stanie, niż się spodziewałem. Miała pewien kształt. Przypominała igłę kompasu z dodatkowymi ramionami na wschód i zachód. To wyglądało jak tatuaż. Wzdłuż igły leciały trzy głębokie rany, po pazurach jakiegoś zwierzęcia. Czy to była rana zadana przez potwora? Było to bardzo dziwne. Nigdy nie miałem tatuażu.

Zauważyłem, że nie za bardzo mogę ruszać palcami u lewej ręki. Zawiązałem, więc ostrożnie chustę na szyi. Gdy skończyłem wiązać zabrałem się za śpiwór i koc. Jedną ręką zwinięcie śpiwora oraz koca poszło mi nieźle. Myślałem, aby zmienić koszulę żeby nie chodzić z dziurą, ale ostatecznie zostałem w tej, którą miałem na sobie. Uporządkowałem rzeczy w plecaku i przypiąłem do niego śpiwór. Zarzuciłem go na jedno ramię. Nareszcie mogłem wędrować.

Ruszyłem przez martwe listowie w obranym przez siebie kierunku. Musiałem znowu wyjść z martwego lasu. Gdy w końcu udało mi się wydostać, kilka razy zraniłem się w zdrową rękę oraz zbliżało się południe. Nie spodziewałem się, że gałęzie niektórych roślin chociaż martwe mogą, być tak elastyczne. Podczas drogi uważałem na lewe ramię, ale podczas chodzenia poczułem, że krwawi. Mogłem zbierać

krew kawałkiem koszuli, który odcięła zabójczyni, ale wolałbym, by krew zaschła i przykryła rany.

Przedemną rozciągał się widok na miasteczko. Nie miałem orientacji po ostatnich wydarzeniach. Mogłem być już w podmieście stolicy, przed Czerwonymi Równinami albo na drugim końcu państwa. Kątem oka dostrzegłem ruch. Odwróciłem się ostrożnie. To była zabójczyni. Jej postać falowała i nie można było dostrzec szczegółów w jej ubraniu. Ręce miała schowane za plecami. Kiwnąłem głową w kierunku miasteczka. Potaknęła twierdząco głową, więc ruszyłem w jego kierunku. W miasteczku o nieznanej mi nazwie było spokojnie.

Chodziłem takimi uliczkami, by omijać mieszkańców, których było niewiele. Widziałem tylko kawałki ich ubrań albo głosy. Nigdzie nie znalazłem, żadnego punktu zaczepienia, gdzie mogłem się znajdować. W pewnym momencie już nie wędrowaniem, tylko błądziłem bez celu po uliczkach. W porze obiadu usiadłem na murku obok jakiejś tawerny. Nie widziałem szyldu, bo znajdowałem się od strony zaplecza.

Żując kawałek chleba, pomyślałem, czego ja tak naprawdę szukam. Zastanawiając się - potrzebowałem schronienia i kogoś kto dobrze opatrzyłby mi ramię. Piłem z bukłaka, kiedy drzwi od zaplecza się otwały. Nie spodziewałem się tego. Odwróciłem się powoli z przepaszającą miną. Z doświadczenia wiedziałem, że jak ktoś przesiaduje za tawerną, może go spotkać przykry los. Stała w nich pulchna kobieta. W dłoniach trzymała wiadro pełne odpadków. Miała rumieńce i wysoko zaczesany kok.

- Ooooo...! - zdziwiła się na mój widok.

- Przepraszam, właśnie... - powiedziałem wstając.

Dalsze tłumaczenia przerwało dziwne zachowanie kobiety. Zmarszczyła brwi i dziwnie skrzywiła usta. Jakby coś sobie próbowała przypomnieć. Gdy jej się to nie udało, jej twarz rozjaśniła się w ciepłym uśmiechu, ale gdy spojrzała na moje ramię miała przerażoną minę. Wyglądało to dość... komicznie.

- Ty jesteś ranny! - powiedziała z troską. Zrobiła pauzę w szukaniu słów i odezwała się ponownie. - Wejdź do środka! –

Ruszyłem ostrożnie. Kobieta odstawiała wiadro i weszła za mną zamykając drzwi. W tawernie było ciepło oraz gwarno. Przez chwilę miałem ochotę po prostu wejść głębiej i wsłuchać się w nieznane mi opowieści, ale pulchna kobieta wyszła zza moich pleców i wskazała kierunek, w którym mnie prowadziła. Kiwnąłem głową, trochę zmieszany.

Otworzyła inne drzwi i tym razem słyszałem już dobrze wszystkie głosy dochodzące z głównej sali oraz poczułem zapachy potraw. Te drzwi prowadziły do kramu karczmarza, a tuż obok były drzwi do kuchni. Gospodyni musiała być żoną właściciela tawerny. Wyszliśmy zza kramu i poprowadziła mnie do góry schodami. Otworzyła kolejne drzwi do małego pokoju na końcu korytarza. Było w nim łóżko, kredens i mała szafeczka zapewne na misę z wodą.

- Poczekaj tutaj, wezwę pomoc. - powiedziała kobieta i wyszła.

Usiadłem na łóżku. Więc słowa zabójczyni się spełniają.

" Nigdy nie zabraknie ci jedzenia i dachu nad głową o ile tego

zapragniesz. "

Zastanawiałem się, jakby to wyglądało gdybym podszedł do czyjegoś domu, ale odepchnąłem tę myśl. Podróż jest ważniejsza, niż jakaś zabawa oraz nie mogę tracić czasu. Usłyszałem, jak ktoś zbliżał się do pokoju. W drzwiach stanął chudy, wysoki chłopak. Miał bardzo jasne blond włosy. W rękach próbował utrzymać dość dużą torbę. Wokół niego można było wyczuć woń ziół. Za nim pojawiła się puszysta pani. Chłopak wyglądał na bardzo zmieszanego. Kobieta wepchnęła młodzieńca do pokoju z grymasem niezadowolenia, popędziła go ruchami rąk.

- Przepraszam... to moja pierwsza interwencja.... nie wiem czyy damm radę... - wyjąkał.

Po tych słowach nieznajoma wzniosła ręce i wzrok do góry. Na to chłopak się odezwał.

- Nie ró b tak mam o, staram się. - westchnął i odłożył torbę.

Podszedł do mnie i obejrzał ramię.

- Kiedy zostałeś ranny? - padło pierwsze pytanie.

Oblał mnie zimny pot. Nie pomyślałem o tym. Co ja mam mu powiedzieć?



Ardea i Hael

- To stara rana. Prawie od razu gdy zostałem ranny, zajął się mną medyk, ale w połowie leczenia opuścił mnie. Od tamtego momentu minęły... cztery dni. - odpowiedziałem.

Historię wymyśliłem tak, jakbym słuchał jakiejś opowieści. Czy się uda?

- Hymm. Tak, pewna część zagoiła się, ale jednym ruchem można by było zrobić nowe rany. - odpowiedział na moją historyjkę młodzieniec.

Nabrał się. Nigdy wcześniej kłamstwo nie wyszło mi tak dobrze. Przysunął bliżej torbę i otworzył ją. Na małej szafce rozstawił lekarstwa. Najpierw oczyścił ramię, posmarował mieszanką kilku różnych maści i zabandażował. Zajął się też zadrapaniami i skaleczeniami od przedzierania się przez martwe rośliny. Nasączył wacik jakąś substancją, która prawie od razu zamknęła rany i zagoiła je. Gdy skończył znowu westchnął, włożył z powrotem leki i niepewnie spojrzał na opatrunek.

- Dziękuję, za współpracę... Byłeś bardzo cierpliwym... Pacjentem. - powiedział już bez jąkania się chłopak.

Nie zdążyłem nic powiedzieć, ponieważ matka młodego medyka, odezwała się pierwsza.

- Jestem Ardea, mój mąż prowadzi tę gospodę. Jak już się zorientowałeś to mój syn. Hael. Zostań tu, aż wyzdrowiejesz. - powiedziała z uśmiechem.

- Dziękuję, za gościnę i pomoc. - odpowiedziałem.

Ardea i Hael wyszli zostawiając mnie samego. Teraz przynajmniej wiedziałem jak mają na imię. Musiałem dowiedzieć się co to za miejsce. Chciałem już teraz iść w drogę. Ramię dokuczało nieznośnie. Rozmyślałem nad wydarzeniami, gdy mnie olśniło. Ta rana i ten tatuaż. Rytuał. Widzenie zabójczyni w cieniu i ta gościna. Zostałem naznaczony.

= - _ . _ - =

Do kolacji nie robiłem niczego ciekawego. Zdziwiłem się jak Ardea zaprosiła mnie na dół na posiłek. Tawerna była już pusta. Towarzyszył nam jeszcze Hael. Nieobecność męża Ardea wyjaśniła, że musiał odebrać nowe stoliki i krzesła od stolarza, po niedawnej bójce.

Na kolację zjadłem ciekawą zupę cebulową, a Hael z matką jedli pieczonego kurczaka z ziemniakami. Podobno były to resztki po zamówieniach. Moim zdaniem jedzenie wyglądało na całe i świeże. Gdy kończyłem swoją porcję, w głównej sali pojawił się wysoki, umięśniony mężczyzna. Miał brązowe włosy i brodę. Gdy spojrzał w naszą stronę na jego twarzy pojawiło

się zdziwienie, a potem gniew. Wielkimi krokami podszedł do naszego stolika. W moją stronę.

- Ruben, stój! Nie waż się zrobić mu krzywdy! To nasz gość! - krzyknęła w moją obronę Ardea.

- A co my, to szpital dla bezdomnych jesteście?! To mój teren, budynek i jedzenie! To jest tawerna dla tych, którzy posiadają dom i pracę! - krzyczał mężczyzna.

- Ruben uspokój się! Jest ranny. Nasz syn w końcu mógł komuś pomóc!

Wykorzystać swoje umiejętności i wiedzę... - powiedziała już spokojniej Ardea.

- Nigdy nie byłem za tym, żeby uganiał się po lesie za jakimiś roślinami i spotykać się z tą starą babą Gertrun! Powinien pomagać w kuchni, uczyć się jak osiodłać konia, przejąć nasz interes i w końcu znaleźć sobie jakąś ładną dziewczynę! A poza tym nie zmieniaj tematu! - odpowiedział nieugięty jej argumentami.

- Tato, ale ja już to wszystko umiem! - chciał się włączyć do kłótni Hael, ale bez powodzenia.

- Milcz, nieudaczniku! - skarcił go ojciec.

- Ruben! Nie odzywaj się tak to naszego syna! - zdenerwowała się Ardea.

Mężczyzna po jej słowach wyszedł głównymi drzwiami. Ardea usiadła powoli na swoje wcześniejsze miejsce. Spojrzała smutno na syna, a później na dłonie. Gdy Hael skończył swoją porcję, ruchem głowy, bym poszedł za nim. Najpierw

odnieśliśmy naczynia do kuchni. Tak szczerze, to nigdy nie widziałem tak wielkiej i zadbanej kuchni. Potem, weszliśmy na górę, ale po innych schodach, z drugiej strony kramu. Pomyślałem, że to skrzydło musi należeć do rodziny. Dlaczego mnie tam prowadzi? W szerszym korytarzu niż dla gości, po lewej stronie mieściły się trzy pary drzwi, a po drugiej stronie tyle samo. Hael otworzył środkowe, po prawej stronie. Wszedłem za nim do pokoju. Był duży i jasny, a to dawało efekt przestronności.

- Tata zawsze był nerwowy i skłonny do gniewu. Na szczęście mama ma na niego dobry wpływ. Eeeeeee... Nieważnie, do rzeczy. - odparł zamyślony Hael.

Zza regału wyjął wysoki stołek. Ustawił go w pewnej odległości od biurka. Zauważyłem, że lubi ma porządek. Wszystkie zeszyty czy książki stały równo. Stanął na stołku i sięgnął do jakiegoś punktu na suficie. Coś zaskoczyło i pojawiła się kłapa. Była idealnie schowana, prawie niewidoczna. Hael wdrapał się na górę, potem pomógł mi wejść. Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Był to strych dużych rozmiarów. Było tam łóżko, kredens z półkami, stół zastawiony różnościami, kilka kufrów i małe okienko.

- To moja pracownia. Nikt nie wie, że istnieje tutaj takie pomieszczenie. Teraz wiesz i ty. Zostaniesz tutaj do jutra, w ostateczności jeszcze jeden dzień. Przez ten czas będę znosił ci jakieś posiłki. Pokażę ci też miasto, dobrze? Zaraz przyniosę twoje rzeczy. - zaproponował Hael.

- To dobry pomysł. - zgodziłem się.

Zszedł z powrotem na dół, a ja znowu tego dnia usiadłem na łóżko. Nareszcie dowiem, się co to za miasto. Z daleka określiłem jak wielka jest kolekcja Haela. Musiał uczyć się od dłuższego czasu. Usłyszałem to samo zaskoczenie jakiegoś mechanizmu i pojawił się mój plecak, a za nim młodzieniec.

- Zabiorę kilka rzeczy i będziesz mógł położyć się spać. - oznajmił.

- Nie ma sprawy. - odpowiedziałem mu.

Wziął ze stołu pięć książek, dwa zeszyty i tyle buteleczek, ile mógł utrzymać dłonią.

- Zamkniesz za mną klapę? - poprosił trochę zakłopotany.

- Najpierw to chciałbym się dowiedzieć jak z tym wszystkim zejdziesz na dół. - zaczepiłem go z uśmiechem.

- Rozejrzyj się. Zmieściłem tutaj kredens ze stołem i łóżkiem. Z książkami sobie nie poradzę? - odpowiedział mi również uśmiechnięty.

Przyjrzałem się meblom. To też było ciekawe, ale przejrzałem go.

- Mogłeś wnieść meble w częściach i złożyć je tutaj. Przecież to pracownia. - powiedziałem.

- Masz mnie. - przyznał się Hael.

Najpierw położył rzeczy blisko klapy, stanął na stołku i zdejmował przedmioty na dół. Stanąłem w pobliżu klapy. Gdy wszystko zniknęło chwyciłem za uchwyt i zamknąłem się na strychu. Przed położeniem się, spać wyrząłem przez okienko. Słońce już zaszło. Widziałem już tylko czarne

krawędzie dachów. Ustawiłem plecak bliżej łóżka i ostrożnie zdjąłem koszulę i chustę, gdy w kącie pokoju zauważyłem jej postać. Postać zabójczyni. Wskazała koszulę i dotknęła swojego kaptura. Postać rozplynęła się w cieniu kąta. Miałem sobie zrobić kaptur z koszuli? Przynajmniej spróbuję. Rozmyślanie jak dobrze podrzeć materiał zajęło mi trochę czasu. W końcu mi się udało. Powtórzyłem kilka razy zakładanie i zdejmowanie, bym nie zapomniał jak to wymyśliłem. Potem położyłem się spać.



Miasto Nivellen

Obudził mnie Hael, po południu. Długo spałem, twardej snem. Chłopak wykonał wszystkie poranne obowiązki i miał trochę czasu dla siebie. Mógł pokazać mi miasto. Przed wyjściem zmienił mi opatrunek i przyniósł trochę chleba i kubek mleka. Po tym małym śniadaniu ubrałem moją pierwszą koszulę i kaptur. Hael nie skomentował tego i wyprowadził mnie tymi samymi drzwiami przed, którymi usiadłem wczoraj. Okrążyliśmy budynek z jednej strony i stanęliśmy przed drzwiami głównymi tawerny. Jej szyld nic mi nie mówił. Hael poprowadził mnie kilkoma uliczkami i znaleźliśmy się na placu rynkowym.

Widziałem już kilka takich placów czy miejsc. Ten plac nie wyróżniało się niczym szczególnym, tylko tym, że cały czas trwał. Widziałem jak niektóre kramy zbierały swoje towary, a zaraz po nich przychodzili inni. Czasami to osoby, które co się zjawiały, pomagały tamtym przy pakowaniu. Hael nie mógł przestać mówić.

- Nasze miasto nazywa się Nivellen. Do Czerwonych Równin jest tylko kilka godzin drogi, a do miast wśród dolin o wiele dłuższa podróż. Z najwyższego punktu w mieście, czyli z wieży ratuszowej nie zobaczy się Równin. Dlaczego? Nikt nie wie, za to mówi się, że na Równiny mogą odnaleźć tylko ci, którzy

walczyli na nich w bitwach albo szukają ciał bliskich. Smutne, ale nasze miasto słynie z wielu takich interesów jak mojej rodziny, czyli karczmy i tawerny. Z naszego miasta wyszło też kilku malarzy i artystów. Słyszałeś o barcie Lefaena Kerr Rame albo śpiewacze Narcyzie? Widziałeś obrazy mistrza Krue? A byłeś na koncercie albo wieczorze poezji Fletchera? To on rządzi wśród mistrzów na dworze! – ekscytował się Hael.

Kilku przechodniów obróciło się w naszą stronę, ale z uśmiechem. Hael odpowiedział na moje jeszcze nie zadane pytania. Za to ja na jego pytania tylko przeczącymi ruchami głowy.

- Hymm, nie znasz sztuki, a gdzie się urodziłeś? Czym się zajmujesz? – zaniepokoił się chłopak.

- Miałeś oprowadzać mnie po mieście, ale odpowiem ci. - zauważyłem – Urodziłem się w małym dworze w jednym z miast wśród dolin jak ten obszar określiłeś. Życie w dworku nie było mi pisane, na szczęście miałem wielu wujków rozsianych prawie po całym królestwie. Jeden z nich był stolarzem i posiadał manufakturę, drugi posiadał pola i wiatraki. Mnie nie interesowała praca, chciałem walczyć. Na jednym z większych spotkań rodzinnych znalazłem wujka, który zaciągnął się do wojska. Miał podobno jakiś stopień, ale nie lubił się chwalić. Gdy skończyłem pewien wiek, wuj zabrał mnie ze sobą. Podczas podróży z dolin, a do obozowiska wuja natknęliśmy się na sługi z pałacu królewskiego. Były to koralowe posągi z ogrodów królewskich. Mieli szkarłatne szarfy czyli byli magiczni i najlepsi. Nie wiem czego szukali, ale staraliśmy się z nimi walczyć. Rozłączyłem się z nimi w walce i

zostałem ranny. Po pobojowisku, które zostało po bitwie nie znalazłem ciała wuja. Znalazłem medyka przygniecionego truchłem konia i ślady biegnące w kierunku Czerwonych Równin. Dalszą historię już znasz. – ciągnąłem dalej wymyśloną historię.

- No tak... ale ty wcale nie wyglądasz na wojownika! – zdziwił się Hael.

Na te słowa roześmiałem się. To była szczerza prawda. Przecież byłem tylko pasterzem, który lubił wędrować z głową w chmurach i słuchać opowieści w karczmach. Jestem szczupły i wysoki. Za ni mi do postury czy charakteru wojownika.

- Nie słuchałeś uważnie. Przecież dopiero co miałem zacząć uczyć się od wuja. Poznawać techniki walki i uzbrojenia.

Taktyk i herbów poszczególnych oddziałów. – odpowiedziałem mu.

- Masz rację. Wybacz, ale trzeba być w takim wieku? W ogóle to ile masz lat? – dopytywał się chłopak.

- Ta informacja nie jest ci potrzebna żeby oprowadzać mnie dalej po mieście, prawda? A tak poza tym, z tym wujkiem się nie dyskutowało. Tak powiedział i już. – zwodziłem go od dalszych pytań.

Przez pewien czas szliśmy w milczeniu, gdy Hael stwierdził, że musimy wracać. Znowu weszliśmy tylnymi drzwiami. Na strychu zmienił mi opatrunek i zostawił samego. Oglądałem jak ludzie wchodzą i wychodzą z budynku, oglądałem grzbiety

książek na półkach, ale nie sięgnąłbym po żadną, bo nie umiem czytać.

Kiedy rodzice wzięli mnie z sierocińca było dużo pracy, więc od małego pomagałem im i nie było czasu na chodzenie do szkoły. Dopiero gdy skończyłem 16 lat dzieci z naszej karawany mogły zacząć się uczyć. Nira uczyła się i chciała uczyć i mnie, ale rodzice zawsze jakby wyczuwali ten moment i przydzielali mi jakieś zadania. Zapewne uważali to za zbędny luksus. Tym sposobem dotrzymałem do obiadu. Hael przyniósł mi tą samą zupę, ale z chlebem i większą porcją.

- To za małe śniadanie rano. – powiedział chłopak i od razu zniknął.

Nudziłem się do wieczora. Ile to jeszcze zajmie? Ramię już nie dokuczało. Sprawdziłem czy mam już czucie w palcach. Cała dłoń mrowiła przy poruszaniu, ale na szczęście przeszło. Hael nie pokazywał się do wieczora. Kiedy przyszedł, położył się na ziemi i zaczął mówić.

- Dzisiaj był wielki ruch. Jeny, ale jestem zmęczony! Wiesz, że rodzice nie pamiętają twojego przyjścia. To dobrze. Mam wielką ochotę rzucić się w wir pracy. Zawsze jest tak kiedy w tawernie jest duży ruch. Dobra ja już nie będę mówił! – podniósł się z ziemi i podszedł do stołu.

Naprawdę więcej się nie odzywał. Przekładał butelki, miski i książki. Szukał i mieszał. Nie rozumiałem jego pomrukiwań, że to obserwowałem go przy jego „pracy”. Kiedy miała nastać noc coś sobie przypomniał.

- W tawernie odwiedziła na grupa podróżników, którzy chcą się przeprawić przez Czerwone Równiny. Za małą opłatą zabierają ze sobą matki z dziećmi i starców. Mężczyzn, którzy mogą pomóc w jakikolwiek sposób biorą za darmo. Z tego co wiem potrzebują pomocy. Są to ludzie z naszego miasta. Znają historię o Czerwonych Równinach, ale są przezorni. Każdy z nich poszukuje czegoś na Równinach. Przyłączysz się do nich? Jutro rano zbierają się ratuszem. Tak, słyszałem – dodał Hael.

To była okazja, ale był problem.

- Tak, przyłączę się do ich, ale co z moim ramieniem? Wyleczyłem się? – zapytałem.

Chłopak momentalnie wszystko rzucił. Podeszedł do mnie.

- Wybacz mi! Zapomniałem, że jesteś w trakcie leczenia! – zawołał żałośnie.

- Zapomniałeś o mnie? – udawałem zmartwionego, chociaż bardziej byłem zdziwiony jego zachowaniem. – To kim byłem? Przyjacielem? Bratem? Czy obiektem przyszłych doświadczeń? - teraz już żartowałem.

- Obiektem czego? – zdziwił się Hael.

Na widok jego twarzy zacząłem się śmiać.

- Daj mi się zająć twoim ramieniem! – rozkazał młodzieniec w panice.

Momentalnie opanowałem się i obróciłem, łapiąc się za chore ramię.

- Tylko ostrożnie! Najpierw uspokójmy się. – zaproponowałem.

Hael obrócił się i wrócił od stołu niosąc inne lekarstwa. Zdjął opatrunek i przyjrzał się ranie. Gdy przez dłuższą chwilę się nie odzywał zapytałem go.

- I jak z raną? –

- Wszystko się zagoiło. Teraz ostatni raz ją posmaruję maścią i to będzie wszystko. Wiesz, że zostaną ci blizny? Nigdy nie widziałem, żeby rany tak szybko się goiły. Miałeś problemy z poruszaniem ręką? – odparł.

- To zasługa pierwszego medyka i tak przez pierwsze dni nie mogłem nią poruszać, dalej czułem mrowienie, a teraz jest już wszystko dobrze. –

- Nie nad wyprężaj jej. Nerwy musiały zostać jakoś uszkodzone, ale nie poważnie. – Hael nałożył maść już bez opatrunku.

- Zauważyłem, że nie masz za dużo ubrań. Chciałbyś trochę zapasowych? - zaproponował chłopak.

- Nie zaprzeczę. – odparłem.

- Przyniosę je jutro. Teraz nie jest dobry czas na chodzenie i szukanie ich. Możesz się położyć, ja położę się później – powiedział Hael.

Kiwnąłem twierdząco głową i ułożyłem się wygodniej. Nie słyszałem jak Hael zamyka po sobie klapę.



Załoga Nieugiętego

Mój sen nie trwał nawet 8 godzin. Tak jak wcześniej obudził mnie Hael. Mój plecak był znowu trochę większy. Gdy będę się nudził (chociaż w to wątpię) przejrzą jeszcze raz jego zawartość. Cały dom spał. Po cichu w kuchni zjedliśmy śniadanie. Grupa podróżników zbierała się pod ratuszem. Miałem dotrzeć tam sam. Podziękowałem młodzieńcowi i wyszedłem na uliczki.

Niebo było jasne, lecz budynki cały czas rzucały cień na moją drogę. Podczas wcześniejszej wędrówki widziałem budynek ratusza. W głowie przypominałem sobie drogę. Z placu rynkowego nie było daleko. Bałem się trochę, że nikogo nie będzie tak wcześnie. Pod wielkimi drzwiami budynku zebrała się mała grupa osób. Podeszedłem do nich, przyglądając się im ukradkiem.

Były tam dwie kobiety, obie z dziećmi. Pod drzwiami na schodach siedział starszy mężczyzna. Wyglądał na chorego. Po chwili zjawiła się starsza kobieta i zaczęła rozmawiać ze staruszkiem. Przyprowadziła ze sobą inną starszą kobietę. Trzymała ona za ręce dwie młode dziewczyny. Miały pochylone głowy, a na nich chusty i długie warkocze. Były ubrane tak samo. Zza ratusza wyszedł jakiś człowiek.

Miał zgarbione plecy, a jego ubranie było całe obsypane czerwonym pyłem, do butów przykleiła się czerwona glina, która odpadała. Musiał być jednym z członków grupy, która miała nas przetransportować na drugą stronę Czerwonych Równin. Spojrzał na wszystkich po kolei. Ja byłem ostatni. Kiedy zawiesił na mnie wzrok, wyprostował się. Splunął i szerokim ruchem ręki wskazał, że mamy za nim iść.

Grupa ruszyła. Mężczyzna wyprowadził nas z miasta. Przed nami rozciągał się tylko czerwony, długi i palący horyzont. Nie było tu żadnej roślinności. Grupa zatrzymała się, zapewne z niepokojącego widoku. Ja szedłem dalej za mężczyzną. Wiele razy przyjeżdżałem do różnych miast i stwierdziłem, że nie warto odwracać się za siebie i oglądać coraz to malejące miasto albo podziwiać otoczenie. Przecież tu wśród dolin widok zawsze jest taki sam. Podczas podróży przyzwyczaję się do widoku Równin. Mężczyzna słysząc, że cały czas ktoś za nim idzie, odwrócił się w moja stronę i spojrzał na mnie. Odwzajemniłem spojrzenie. Czerwony pył miał nawet w tęczówkach. Uśmiechnął się i zmrużył oczy. Zastanowiłem się gdzie on nas prowadzi. Grupa osób dogoniła przewodnika.

- Dlaczego nie zatrzymałeś się by podziwiać widok Czerwonych Równin, młodzieniaszku? – zagadnął mnie podróżnik.

- Przecież, podczas podróży napatrzę się na nie dostatecznie długo, prawda? Reszta chyba będzie pierwszy raz w podróży. – dodałem.

Na tą odpowiedź przewodnik roześmiał się. Zza pasa wyją pokręconą laskę. Trzymając ją w dłoni uspokoił się. Dwa razy stukną nią o ziemię. Z prawej strony wyjechał powóz, choć to określenie nie jest dobre.

Wyglądało to jak, nie duża klatka, do której przyczepiono stanowisko woźnego, koła i ramę dla koni. Wszystko było z drewna. Metal pojawiał się jedynie przy łączeniach, a materiał był tylko dużą płachtą do połowy zasłaniającą boki „klatki”. Powóz zatoczył koło i zatrzymał się. Z kozła zeskoczyli dwaj mężczyźni i jeszcze dwaj ze środka „klatki”. Wszyscy byli prawie tak samo ubrani, ale różnili się od siebie wzrostem i posturą. Mężczyzna o średnim wzroście i krępej budowie rozkazał.

- Dobra ludzie! Pokażcie ile macie zapasów wody! – jego głos był silny.

Kobiety spojrzały po sobie niepewnie. Zdjąłem plecak i otworzyłem go. Myślałem, że jest w nim nieporządek, lecz tak nie było. Wszystko było ułożone. Dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej? Przecież niosło się go wygodnie. Kiedy zajrzałem głębiej oprócz ubrań było tam coś jeszcze. Drugi bukłak i to dość duży. Wyjąłem go i położyłem obok niego, drugi mniejszy. Krępy mężczyzna zrobił mały obchód.

- No, no jaki zapas. – skomentował z uznaniem przechodzą obok mnie.

Nie odpowiedziałem.

Kiedy wrócił do swoich towarzyszy zauważyłem, że mężczyzna, który nas tu przyprowadził właśnie skończył mówić coś swojemu koledze.

- Jestem Erridil, a to moi przyjaciele : Oronis, Cerlito, Alben i Voldo. Jak zapewne słyszeliście od kogoś możemy was przetransportować przez Czerwone Równiny. Ma to swoje zalety jak i wady jak będziecie uważać. Po pierwsze : Woda. Bez wody przeżyć można dwa dni. Tutaj ten czas będzie o wiele krótszy. Woda będzie skonfiskowana i podawana w odpowiednich porach. Koniec kropka. Druga rzecz : Jedzenie. To wasza sprawa co będziecie jeść. Trzecia sprawa : Ochrona. Jak widzicie mamy tu jakiś innych mężczyzn niż my. Nie liczę ciebie staruszku. Ty nam w niczym nie pomożesz, ale za to ty młodzieńcze już tak. Będziesz pilnował, żeby żadne z tych tu nie wychodziło przed szereg w nocy, no i czasami w dzień. Jasne? – zwrócił się do mnie Erridil.

- Jasne – potwierdziłem.

- No, to czwarta rzecz : Podróż. Będziemy podróżować o tym powozem. My nazywamy go Nieugiętym, ponieważ wytrzymał wszystkie ataki z piramidy drapieżców na tym obszarze zwanym Równinami. Jedynie co mam to nadzieję, że nikt nie zacznie próbować sprawdzać jego wytrzymałości. To robota zwierząt. – objaśnił przywódca - Będą też postoje. To już wszystko. – dodał krępy mężczyzna.

Po przemówieniu podszedł do mnie.

- Jak masz na imię? – zapytał.

- Jestem Tarnis. – przywitałem się.

Nie odczuwałem potrzeby by kłamać.

- Moje imię już znasz, znasz też zapewne ofertę jaką dysponujemy, tak? – chciał się upewnić mężczyzna.

Powtórzyłem mu słowa usłyszane od Hela.

- Dobrze, zobaczymy czy się spiszesz. Jeszcze jedno, czy szukasz czegoś na Czerwonych Równiach? –

Teraz miałem dwa wyjścia. Słyszając historie o Równinach do młodego medyka, nie chciałem ryzykować tak jak ci podróżnicy.

- Poszukuję wuja. Kiedyś ruszył na Czerwone Równiny, by odszukać ojca, jego i swojego brata. Nigdy później się nie pojawił. Moja ciocia, a jego żona chciała by go pochować, a jeśli żyje... Znowu zobaczyć w domu. – Erridil potaknął głową i odszedł.

Stałem w kolejce do Nieugiętego. Czy moje kłamstwo wystarczy bym mógł przejść przez Równiny? Byłem zły na siebie, że tak przeplatałem i wymyślałem je w rozmowach.



Pierwszy Postój

Oronis kierował ludzi do pojazdu i objaśniał im jak mają usiąść. Pierwsze usiadły dwie dziewczyny, a za nimi ich opiekunka, druga starsza kobieta z chorym mężczyzną. Kolejna była matka z synkiem o jasnych włosach oraz druga matka. Ja byłem znowu ostatni. W „klatce” było o wiele więcej miejsca niż się spodziewałem. Każdy miał trochę miejsca dla siebie, ale i tak kobiety trzymały się siebie blisko. Jeden kąt był przeznaczony dla chorego. Cerlito klepnął mnie w ramię i powiedział.

- Lepiej się teraz prześpij młody. Pamiętaj, że będziesz nas pilnował w nocy. – po tych słowach zamknął za mną bramkę.

Miałem zamiar się zdrzemnąć, ale nie dlatego, że było rano tylko prawie od razu zaczęło mi dokuczać gorąco. Oparłem głowę wygodnie na plecaku i zakryłem oczy kapturem. Nie zasnąłem od razu. Przysłuchiwałem się uczestnikom podróży. Z godziny na godzinę młode dziewczyny oswajały się z otoczeniem. Podniosły głowy i zaczęły cicho rozmawiać. Mali chłopcy razem się bawili, krzyczeli i bili się. Matki próbowały ich co chwila uspokajać, ale historia się powtarzała. Potykali

się o moje nogi i wpadali na siebie. Powóz cały czas pędził przed siebie. W końcu zasnąłem.

Kiedy się obudziłem Nieugięty stał. Nikogo nie było w „klatce”. Przeciągnąłem się trochę. Czy to był jeden z tych postojów? Spojrzałem przez szpary w ścianach „klatki”. Stali tam wszyscy mężczyźni i... Załatwiali swoje potrzeby. Odsunąłem szybko twarz od ściany. Zapewne po drugiej stronie stały kobiety. Bramka była zamknięta. Gdy ludzie zaczęli zbierać się przed pojazdem, byłem już prawie przebudzony. Przejście otworzył mi Alben.

- No, obudziłeś się. Spałeś jak dziecko, nie jak te dwa diabły. Przegapiłeś część postoju, ale nogi zdążysz rozprostować. – przywitał mnie.

Wyszedłem z wozu i krótko przeciągnąłem się. Spojrzałem na horyzont by określić jakoś czas. Słońce nie było w zenicie, tylko w połowie drogi do zachodu, czyli zatrzymaliśmy się w czasie po obiedzie. Naprawdę od rana udało mi się przespać taki kawałek czasu? Voldo zaczął rozdawać wodę w małych glinianych kubeczkach. Przyjąłem swoją porcję. Nogi miałem zdrętwiałe, więc przeszedłem się trochę na przód wozu.

Konie były zdumiewająco podobne do koni z grupy Borga. Kiedy przetarłem kilka razy oczy, mgła jakby zaczęła blednąć. To nie były konie Borga, nie miały bułanej maści. Zamiast tego miały jasne grzywy i ogony. Miały małe łby, ale nie były chude oraz silne nogi i ciało. Kiedy uderzały kopytami o ziemię czuło się niesamowitą wibrację. Wróciłem na tyły wozu.

Kobiety rozmawiały swobodnie, a starzec przyglądał się chłopcom. Podczas pierwszego postoju już poznałem ich imiona. Młode dziewczyny nazywały się Rena i Mirka. Renę można było poznać po małym hafcie na chuście. Starsze kobiety rozmawiały z matkami. Matka o jasnych włosach miała na imię Sofie, a jej koleżanka Denise. tak naprawdę to była jej kuzynka. Ich synowie nazywają się Dusan i Beau. Chory mężczyzna nazywał się Sefton, a kobieta, z którą rozmawiał to jest jego siostra Serona. Jej przyjaciółka, Trakaria opiekowała się dziewczętami.

Wszyscy szukali czegoś, ale nie na Równinach tylko w podmiastach stolicy albo w miastach przy jeziorach Białej Kaczki. Czy uda im się przejść przez Czerwone Równiny? Postój nie trwał długo. Wsiadając myślałem czy mam dalej odpoczywać czy rozmyślać. Wybrałem tą drugą opcję. Myślałem nad historią, tą z wujem i ataku sług z pałacu. Zabójczyni powiedziała, że porywają ludzi i zabierali ich do pałacu na przymusową służbę. Czy byliby w stanie zaatakować nawet taką grupę? Przez moment nie czułem się bezpiecznie. Bezpiecznie? Właśnie dlaczego miałbym czuć się bezpieczny? Przecież jestem w podróży na obcych mi terenach. Jak to żałośnie zabrzmiało. Jestem sam. Nie ma już nikogo kogo bym dobrze znał. Została mi tylko Nira.



Świecąca Glinka

Do końca drogi nie było żadnych postojów. Konie gnały przed siebie, nieugiętym tempem. Wszyscy milczeli. Nawet chłopcy siedzieli spokojnie w ramionach matek. Gdy na bezchmurnym niebie słońce zaczęło znikać za horyzontem konie zwolniły, ale nie stanęły. Niebo było już ciemne kiedy zatrzymały się. Bramkę otworzył Erridil. Przeliczył po cichu wszystkich.

- Tutaj będzie nasze obozowisko na noc. Z innych ogłoszeń mogę wam powiedzieć, że nasze dobre konie, jeżeli będą utrzymywać takie tempo podróż zajmie nam jeszcze... Z sześć lub siedem dni. Na szczęście wystarczy nam zapasów wody. – poinformował nas mężczyzna. Dziwne, że poruszał ten temat już pierwszego dnia. Czy coś nam grozi ?

Podszedłem do niego.

- Teraz zacznie się moja rola, którą wyznaczyłeś mi na początku tej podróży, prawda? – zacząłem.

Mężczyzna poklepał mnie po ramieniu z uśmiechem.

- Alben, mówił, że będą z ciebie ludzie, Tarnisie. On przeczuwa to w swoich starych kościach. Uwierz mi, podczas podróży przez takie warunki człowiek się zmienia. Spotykałem tak bardzo skąpych albo pysznych ludzi, że osoby, do których

się mówi, a one to zapamiętają i wykonują zadanie bez żadnych sprzeciwów to jest skarb. – przyznał Erridil.

Zrobił małą pauzę.

- W nocy jest chłodniej i spokojniej. Do czasu, przed wschodem słońca, a zejścia księżyca z nieboskłonu. Ziemia jest chłodna, a słońce dopiero ją ogrzewa. Ten czas jest najgorszy. Chociaż wszystkie magiczne stworzenia zostały wygnane, wydarzenia i magia zawsze zostaną w tym miejscu. Zbyt wiele krwi i śmierci było w przeszłości. W tym czasie wszystko wychodzi, lecz nie zawsze. – zaczął przywódca – Do połowy nocy będzie paliło się ognisko z przygotowanego wcześniej drewna. Dalej zapewne będziemy spali, a chłód nie będzie nam dokuczał. Za to tobie radzę coś więcej ubrać. Możesz chodzić sobie spokojnie wokół obozowiska, by ciągle nie siedzieć. Najważniejsze żebyś nie spał. Gdyby ktoś się obudził, nie może wyjść poza krąg obozowiska, nawet jeśli będzie miał potrzebę. Nie i już. Tylko ty możesz wyjść. W nocy ty masz szarfę, rozumiesz? – wyjaśnił Erridil.

- Zrozumiałem. – odpowiedziałem.

Cerlito przyniósł jakiś woreczek. Oronis układał śpiwory ludzi w okrąg. Erridil zaczął kopać w suchej ziemi. Kiedy zebrał czerwony pył w małą kupkę, zebrał glinę i uformował z niej kulę. Zrobił w niej dołek i otworzył woreczek przyniesiony przez Cerlito. Do środka dołka wsypał trochę proszku. Ugniatał glinę jak ciasto, cały czas mamrocząc. Posypywał glinę czerwonym pyłem, jakby była to mąka. Kula gliny zmieniła kolor na jaśniejszy, że można ją było dostrzec w ciemności od podłoża.

Wszyscy stali w kręgu ze śpiworów, każdy przy swoim. Erridil wstał i wyszedł z kręgu. Cały czas coś mamrotał, ale już spokojniej i jakby do siebie. Wokoło śpiworów w pewnym odstępie nakreślił linię z gliny i wrócił do środka oraz podszedł do mnie. Resztki gliny, które mu zostały nałożył mi na twarz. Zrobił dwie kreski, jedną pionową wzdłuż nosa, między oczami, a drugą nad brwiami poziomą. Trochę pyłu miałem na powiekach i policzkach. W końcu przestał mamrotać. Wskazał ręką żebym wyszedł z kręgu. Przekroczyłem linię i nic się nie stało, więc wróciłem do środka koła. To wszystko?

Cerlito i Voldo obrócili się w stronę wozu. (Nieugięty znajdował się w obrębie koła) Chciałem przygotować lepiej śpiwór, kiedy spojrzałem na chłopców. Mieli śpiwory tuż obok mnie. Ten mniejszy, Beau za śmiechem kierował się w stronę linii wołając w czarną pustkę :

– Tata! –

Dwa kroki wystarczyły by go dogonić. Złapałem go za rączkę i pociągnąłem do siebie. Z drugiej strony Dusan przyglądał się temu z otwartą buzią, ale obrócił główkę w tą samą stronę to Beau i na jego buzi pojawił się uśmiech. Wstał i tak samo zawołał, ale kogoś innego :

- Ciocia! –

Był dalej, niż tamten i nie było czasu by zrobić kroki, więc wyciągnąłem rękę i złapałem go za tył koszuli. Odciągnąłem go od linii. Oba chłopcy mieli zdziwione miny. Nie trwało to długo, ponieważ się rozplakali. Czyżby zrobiłem to zbyt brutalnie? Oddałem chłopców ich matkom. Zobaczyłem,

że piątka podróżników stoją nieruchomo jak posągi. Pierwszy poruszył się Erridil.

- Szybka akcja, Tarnisie. – pochwalił mnie.

Spojrzał groźnie na matki, trzymające swe dzieci. Chłopcy wyciągali do ich rączki żeby ich przytuliły czy pogłaskały po głowie, ale one patrzyły na Erridila.

- Nie głaszczcie ich. Niech ból i łzy wymyją im z głowy późniejsze głupie pomysły. – powiedział, tylko i odszedł do swoich przyjaciół.

Kobiety skarciły swoje dzieci. Ja także wróciłem do swojego śpiwora. Cerlitowi długo nie zajęło rozpalanie ogniska. O dziwo czerwony pył w niczym nie przeszkadzał. Ogień nie był duży, ale dawał ciepło. Wszyscy skulili się na swoich pośłaniach, grzejąc się, ponieważ zrobiło się naprawdę zimniej. Nikt nie spał. Dziewczęta wyjęły jedną dość dużą kromkę chleba i zaczęły ją przypiekać nad ogniskiem jednym z dłuższych patyków przyniesionych przez Cerlito. Zjadły kromkę po połowie. Po ich małej kolacji wszyscy powoli zaczęli się kłaść do snu.

Tak jak mówił Erridil w połowie nocy ognisko zgaśło. Voldo nie pilnował go do końca. Zostało nawet trochę patyków. Wstałem i zacząłem powoli chodzić za linią obozowiska. Zrobiłem trzy kółka w jedną stronę i tyle samo w drugą. Obserwowałem gwiazdy i śpiących. Wszyscy byli spokojni, nikt się nie obudził i nic niepokojącego się nie stało do momentu, o którym mówił Erridil. Dokładnie to coś złego zaczęło się dziać ze mną, a nie z nimi.



Ocame Lordme

Gwiazdy zaczęły blednąć, a księżyc schował się za horyzontem, kiedy zobaczyłem chmurę pyłu. Chmura przemieszczała się po ziemi, jak mgła, w bardzo szybkim tempie. Obawiałem się jej, nie byłem pewny co mam zrobić. Kiedy chmura zbliżyła się do obozowiska dostrzegłem w niej głowy. Były to głowy zwierząt, a dokładniej owiec, stworzone z pyłu. Minęły nasze obozowisko z dwóch stron. Na szczęście stałem w środku kręgu. Zwierzęta biegały jakby były przeganiane przez pasterzy w jakieś miejsce. Gdy tylko ta myśl przemknęła mi przez umysł z mojej prawej strony wyłonił się mężczyzna.

Miał laskę i kapelusz. Ze stada owiec wyłoniły się grzbiety i ogony psów pasterskich. Znałem te psy. To były wilczury z mojej karawany. A ten mężczyzna... To musiał być mój tata... Zaczął machać w moim kierunku. Ja, zbyt nieufny do tego gestu obróciłem się i prawie zachwiałem się na nogach. Za mną na swoje klacze siedziała moja mama, a ja za nią trzymając się jej w pasie. Pamiętam to wydarzenie. To była moja pierwsza gonitwa jaką pamiętam. Miałem wtedy osiem lat. Mama podniosła wzrok i pomachała tacie. Klacz zrobiła

kółko i odjechała dalej za owcami. Tata pokiwał głową i zaczął dalej poganiać owce.

Chciałem odprowadzić ich wzrokiem, ale blizny na moim ramieniu zaczęły piec. Złapałem się za nie i obróciłem się. Z końca chmury wyłoniły się inne stworzenia. Miały po trzy pary nóg i długie pyski. Były wielkie jak niedźwiedzie. Jeden z nich chciał pożreć głowę Trakarii, a drugi Albenowi. Nie wiedziałem, do którego mam podejść. Rzuciłem się w stronę Trakarii, ponieważ stwór, który się nad nią pochylał wyglądał na samicę. Była tak samo wielka jak inne, więc musiała być alfą. Ten drugi był o wiele większy niż reszta. On był samcem alfa, a ona zapewne jego wybranką. Może gdy usłyszy jak tamta skamle to zostawi Albena w spokoju i ruszy jej na ratunek. Nie miałem czasu nad tym rozmyślać.

Jedyną bronią jaką miałem to wzrok. Zauważyłem to wcześniej, kiedy obróciłem głowę w stronę jednej z bestii ta uciekała. Samica pochyliła łeb w kontrataku. Miały po dwie pary oczy. Ich źrenice były poziome jak u bestii podczas rytuału. Chciałem przetrzeć oczy tak jak przy koniach, ale cały czas patrzyłem w jej żółte, pełne złości oczy. Czułem jak moje ciało zostało ogarnięte w bezruchu tak jak w tamtym momencie! Samica cały czas odwzajemniała spojrzenie. Słyszałem jak wysuwa dodatkowy pas zębów w paszczy. Zostawiła w spokoju głowę Trakarii i chciała się rzucić na mnie. Kiedy próbowała zrobić krok, stanęła na linie. Zamrugęła kilka razy w zdziwieniu przerywając spojrzenie. Zaczęła głośno skamleć, zakrywać łeb i cofać się.

Siła trzymająca mnie na chwilę zniknęła. Samiec alfa usłyszał jej piski. Przeskoczył nad całym obozowiskiem i tak jak ona wcześniej spojrzał na mnie spode łba. Nie ruszał się, stał jak posąg. Reszta potworów zaczęła się jakby komunikować z innymi. Biegały wokół obozowiska coraz szybciej. Dostrzegałem to kątem oka. Samica uspokoiła się i chciała zapanować nad resztą watahy, ale bez skutku. Nie słuchały jej. Jedna z bestii przeskoczyła nad nią i zraniła w kark, drugi stwór w tym samym czasie ugryzł ją w tylną nogę. W tym momencie zawyła najgłośniej. Alfa ruszył jej z pomocą. Wataha zwinnie unikała ataków, jak i tak samo zadawała ciosy. Stado sprzeciwiło się parze alfa! Przez moje ciało przechodziły fale dreszczy i nie mogłem utrzymać się na nogach, więc klęczałem. Bestie kąsały alfy po nogach zmuszając je do biegu. Stado ruszyło w stronę chmury pyłu.

Kiedy pierwsze promienie słońca oświeciły mi plecy, pył osiadł na wszystkich śladach, jakby nic się nie wydarzyło. Pył osiadł też na mnie, ale nie na nikim innym w kręgu. Cały czas klęczałem i czułem wibracje od ich biegu, choć już spokojnie. Podniosłem się i usiadłem ciężko na śpiworze. Gdy słońce całe wynurzyło się zza horyzontu, pierwszy obudził się Voldo, a tuż za nim Cerlito. W głowie siedziały mi cały czas wydarzenia z nocy. Kiedy Voldo przebudził się do końca, podszedł do mnie i poklepał w ramię.

- Nie wyglądasz za dobrze. - stwierdził – Zjedz coś i otrzymaj glinę z twarzy. Co wieczór będziesz miał zakładaną nową. Potem złoż raport Erridilowi. - powiedział.

Te słowa mnie trochę obudziły. Schowałem śpiwór, ale koc zostawiłem. Zjadłem kromkę chleba i zagryzłem ją serem. Glinę otarłem rękawem, lecz pył roztarł się bardziej po mojej twarzy. Nie poczułem się jednak lepiej. Oronis zaklepał ognisko, Cerlito zaczął zasypywać linię, a Alben budził ludzi. Przygotowałem sobie miejsce do odpoczynku w Nieugiętym. Kiedy szykowaliśmy się do dalszej drogi opowiedziałem Erridilowi wydarzenia z nocy. Powiedziałem mu wszystko.

- Bardzo dobrze poradziłeś sobie ze „stworami” jak je określiłeś. Mają swoją nazwę, tu na Czerwonych Równinach, nazywamy je Okami, a to ich pierwotna nazwa Ocame Lordme. Są one drugie na piramidzie drapieżców. Pierwsze miejsce zajmują drapieżne ptaki Skatyke Lubea, a po naszymu Czarnymi Krakami. Nie pojawiają się zbyt często. O wiele bardziej obawiałbym się tego co wywołało tą chmurę z pyłu. Tylko magiczne stworzenia mogą taką stworzyć, a z ostatnich działań naszych władców wiemy, że zostały wygnane. - odpowiedział Erridil.

KONIEC

CZĘŚCI PIERWSZEJ